ŻONA z JARMARKU.

POWIEŚĆ WIEJSKA

przez

Klemensa Junoszę.

[Szaniawski]

WARSZAWA.
Nakładem księgarni G. CENTNERSZWERA — Marszałkowska 143.

1899.

DRUK. M. LEWIŃSKIEGO, MARSZAŁKOWSKA 141

Дозволено Цензурою
Варшава 16 Февраля 1899 года.

I.

Przytucha była to wioska nieduża, ale przyjemna; letnią porą tonęła ona w zieloności, jakby w morzu, bo ulica a raczej droga, między domami się ciągnąca, przyozdobiona była wielkiemi topolami, a przy każdej chacie ogródek się znajdował.

Nie brakło tam czereśni, wisien, śliwek, jabłoni i grusz; więc się ta drzewina z wiosną bieliła zdaleka, jakgdyby ją kto śniegiem obsypał, latem czerwieniły się na niej wiśnie, jesienią złociły słodkie gruszki i jabłka pachnące.

Dobre, rumiane jabłka!.. Śmiały się z góry te jabłka do dziewcząt, a dziewczęta z dołu szczerzyły zęby do jabłek, dopóki ich nie zerwały i nie zjadły, ma się rozumieć.

Zaraz za wsią był kościołek, dawno już zbudowany, niewielki. Niegdyś ktoś poczciwą ręką lipiny dokoła niego nasadził. Zapewne już dziś z tego człowieka ledwie nieco prochów i trochę zmurszałych kości pozostało, a lipy przez niego posadzone tak się

pięknie przyjęły, na takie wspaniałe drzewa wyrosły, że kościoła z poza nich wcale nie widać, tylko wieżyczka ze złoconym krzyżem na wierzchu trochę się nad nie wychyla.

Letnią porą koło kościoła chłód jest przyjemny i cień, bo przez gęstwinę liści słońce się przedrzeć nie może; w lipcu, gdy kwiaty się na lipach pokażą, zapach wielki z nich bije, pszczoły z całej okolicy przylatują i brzęk robią, jakby kto na organie grał cichutko podczas Podniesienia.

Przy kościele plebania, przy niej ogród porządny, dalej dwór, także z ogrodem dużym, a o kilkanaście staj za wsią cmentarz, zadrzewiony, jak gaj.

Mówią, że przed laty w Przytusze był proboszcz, wielki znawca i miłośnik ogrodów: sam on drzewka sadził i innych do sadzenia zachęcał i tak tę całą wioseczkę ocienił, przyozdobił, umaił, że naprawdę wygląda ona latem, niby w wielkiem morzu zieloności zanurzona.

Za wsią pola się ciągną i łąki, ładne łąki, śrokiem nich rzeczka się wije i toczy swoje czyste fale do stawu; tam zaś cała ta woda, ujęta w groble, pogródki, szluzy, stawidła, zaprzęgnięta jest do pracy i, rada nie rada, musi młyńskie koła obracać na pożytek ludzi...

Buntuje się ona, huczy, pieni, złości, czasem nawet, jak jej siły przybędzie, potrafi

groblę zerwać, albo pogródki zepsuć, ale nie przyda jej się to na wiele, przyjdą majstrowie, robotnicy, groblę naprawią i znów wodę do kół obracania zapędzą... Tak to jest: woda siłę ma, a człowiek rozum; zaś jak rozum zacznie z siłą wojować, to najczęściej zrobi z nią, co tylko zechce...

Można się o tem w pierwszym lepszym młynie, a choćby i w wiatraku przekonać.

Za polami, za łąkami, za stawem, widać zdaleka lasy; wznoszą się one niby wielkie ściany, niby ogrodzenie tego szerokiego okręgu, który ludzkie oko widzeniem swojem obejmuje.

Jak się letnią porą do onej Przytuchy wjeżdżało, to chałup mało co widzieć było można, tak się w ogródkach chowały; tylko tu i owdzie dym, co się białawym słupkiem w górę wzbijał, zdradzał, że tu są ludzkie siedziby.

Było w onej wiosce chałup z górą trzydzieści; gospodarze siedzieli w niej nie bogacze, ale też i nie biedni; jeden tylko górował nad wszystkimi majątkiem, gdyż po rodzicach swojego czasu sporo pieniędzy dostał i na handle się puszczał,—dość że dorobił się i piękny kawałek gruntu przykupił.

On miał najporządniejsze w całej wsi domostwo, nowe, własnego stawiania, największą stodołę i oborę, najwięcej bydła.

Trzymał parę pięknie wypasionych koni, a jak sobie do wyjazdu wasąg na wozie wyszykował, a te swoje konie do niego zaprzągł, to można było myśleć, że nie prosty gospodarz jedzie, ale jaki znaczny kolonista, lub młynarz.

Miał ten człowiek na imię Michał, a na nazwisko Śpiewalski. Nie młody był, gdyż pewnie z kopę lat przeżył na tym świecie, trzymał się jednak prosto, poszycie na głowie miał gęste, nie bardzo jeszcze siwe i na swoje lata nie wyglądał.

Najbliższym jego sąsiadem był Bartłomiej Jarząbek; ten gospodarstwo posiadał niewielkie, ale biedny też nie był, miał albowiem do siekiery wielką zdatność i na ciesielstwie znał się lepiej, niż niejeden taki, co się za majstra podaje.

Chodził też bywało Jarząbek na zarobki i nietylko w bliskiej okolicy znajdował zatrudnienie, ale i w dalsze strony ludzie go zapraszali. Jak gdzie tylko stawiano jaką większą budowlę, kościół, dwór, dom piętrowy w miasteczku, wnet się o Jarząbka starali, bo, jako się rzekło, zdatny był, a robota paliła mu się w ręku. Siekierą, czy toporem wywijał jak piórkiem, na wiązaniach doskonale się rozumiał, a nieraz nawet majstrom dobrze doradził.

Światowy człowiek był, bo w tych wę-

drówkach za robotą dużo różnych rzeczy widział i dużo ludzi poznał. Kieliszkiem nie gardził, ale się nie upijał; przy robocie na jedzenie sobie nie żałował, ale zanadto grosza nie trwonił i nigdy z próżnemi rękami nie powracał.

Rzadko kiedy letnią porą w Przytusze siedział, tylko wciąż na fabrykach; gospodarstwo zaś prowadził i koło roli robił syn jedynak—Marcin, już od kilku lat żonaty. Bartłomiejowa żona pomagała także i tak się ta gromadka trzymała, trochę z zarobku, trochę z roli, jedno przy drugiem, dość że chleba nie brakło—i nie narzekali.

Piękna była jesień, ludzie się już po trochu z siewem ozimym uporali, gdy Bartłomiej Jarząbek powrócił do domu...

Całe lato miał zatrudnienie przy budowie kościoła w pewnej wsi, o sześć mil od Przytuchy, a gdy wiązania dachowe już stanęły i blacharze zaczęli je pokrywać—wypłacono mu jego należność i poszedł do domu.

Przy pięknej pogodzie pieszo się wybrał, prawie o samem świtaniu, i na wieczór już był w Przytusze, rad, że się w tym roku tak prędko fabryka skończyła i że jeszcze w domu przy kopaniu kartofli będzie pomocny.

Uczciwie przywitany przez żonę, syna i synowę, zjadł kolacyę, a że czuł się zmęczonym, poszedł zaraz spać, nie zapytawszy

nawet, co się we wsi dzieje i czy się jaka zła przygoda nie przytrafiła.

Nazajutrz rano wyjrzał trochę na świat, patrzy: a no nic—wszystko tak jak było, po staremu, tylko liście na drzewach jedne poczerwieniały, inne pożółkły, inne jeszcze wydają się, jak gdyby złocone... i coraz to który spada na ziemię. Jak zwyczajnie w jesieni.

Chałupy stoją, jak stały, z kominów białąwy dym się podnosi, a z kościelnej wieżyczki sygnaturka dzwoni.

Zajrzał Bartłomiej na sąsiedzkie podwórko, patrzy: parobek wóz smaruje, a Śpiewalski mu zapowiada, jak ma wyszykować wasąg, żeby było pięknie i wygodnie, nakazuje konie oczyścić, owsa ćwiartkę wziąść, siana sporo, żeby szkapy głodu nie miały.

Gdzieś się stary wybiera,—pomyślał Bartłomiej i na podwórko wszedł, aby sąsiada przywitać.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—rzekł Jarząbek.

Śpiewalski obejrzał się.

— Na wieki wieków Amen—odpowiedział.—Jak się macie, Bartłomieju kochany! kiedyżeście przyszli? Chodźcież do izby, do izby, spocznijcie, powiedzcie, co słychać na świecie?

Bartłomiej długo się prosić nie dał, tembardziej, że z sąsiadem zawsze w przyjaźni

żył i lubili się obadwaj—poszedł tedy do stancyi. Rzucił okiem do koła, widzi odmianę dużą.

Stancya ta sama, ale sprzęty w niej insze, nie gospodarskie, jak dawniej. Zamiast stołu sosnowego na krzyżykach, okrągły bejcowany na czerwono, na nim szmata żółta, w kwiaty wielkie zielone, rychtyk, jak chustka kobieca;—ławek niema, tylko krzesełka z poręczami, też czerwone, zaś przy ścianie zydel nie zydel, ława nie ława, ale też do siedzenia,—długie, z oparciem, z poręczkami, czerwone jak i stół...

Dwa stoliki mniejsze, szafka żółta za szkłem, w niej talerze białe malowane, takież kubki, miski, jakby w kramie, gdzie fajans sprzedają. Komina niema, a na miejscu, gdzie był dawniej, piec stoi kaflany, aż się świeci z nowości, w nim drzwiczki żelazne, najbiedniej dwa ruble warte.

W oknach zielone szmatki wiszą, a na jednym stoliku lampka, nie taka, jak zwyczajnie po wsiach używają, ale z banią szklanną, jak spora dynia...

— Co za odmiana taka?!—pomyślał sobie Jarząbek; jedne tylko obrazy świętych po ścianach, jak wisiały dawniej, tak i teraz wiszą...

— No, siadajcież Bartłomieju — rzekł Śpiewalski, —siadajcie. Ja bo się w drogę

wybieram, ale jeszcze zejdzie z godzina, nim wyjadę... Przekąsimy, co Bóg dał. No i cóż... tak jakoś dziwnie spoglądacie?..

— A no nic, mój Michale, patrzę, bo jakoś inaczej u was teraz...

— Tak, tak... to prawda—trochę inaczej. Trudno; interesa są rozmaite, czasem ktoś obcy zajrzy; no i ot... samemu jakoś milej, skoro w chacie porządnie.

— Prawdać i to... A cóż u was mój Michale w domu? Zdrowi wszyscy? Kobiecisko wasze, córki?

— Kobiecisko,—odrzekł Śpiewalski—już na cmentarzu; dziesiąty tydzień mija, jak ją pochowałem...

— Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie! A ja nic nie wiedziałem. Mój Boże... dziesięć tygodni!..

— Dziesięć, Bartłomieju kochany. Niedługo chorowała—kilka dni... Dawałem ratunek, nie szczędząc; doktór był trzy razy, felczer, zdawało się, że może wstanie kobiecisko z tej choroby, ale gdzie zaś! Za trzecim razem doktór pokiwał tylko głową, na stronę mnie wziął i powiada:—mój Śpiewalski, ja tu nic nie poradzę, posyłajcie po księdza, póki chora przytomna, do wieczora biedactwo nie dożyje... Prawdę rzekł.—Zmarła tegoż dnia po południu... Ksiądz był, święte

Sakramenta przyjęła, pochowałem ją uczciwie... Co mogłem więcej zrobić?

— A toć... cóż umarłemu? Trumna, grób i westchnienie za spokój duszy. Niech odpoczywa z Bogiem... Musieliście się okrutnie zmartwić, Michale.

— A no tak—tyle lat—kobieta niezgorsza—jużcić było markotno, ale cóż robić—i nas to samo czeka...

— Prawda, prawda. I któż wam gospodaruje teraz?

Tymczasowo córka Katarzyna, ta wdowa. Starszym, mężatkom, nijako było swoje gospodarstwo i dzieciaki porzucać, ta zaś co inszego. Dzieciak jej też umarł, sama została, więc do czasu tu siedzi...

— Dlaczegoż do czasu?

— Jako wdowa, za mąż pewnie wyjść zechce. Kobiecie dwadzieścia sześć lat dopiero, a że i nie biedna, to swego znajdzie... Hej, Kasiu, Kasiuniu!—zawołał Śpiewalski, otwierając drzwi do sieni,—chodźno tu...

Zaraz weszła do stancji kobieta młoda, wysoka i osobliwie ładna na twarzy. Wyglądała nie jak wdowa, ale jak młoda dziewczyna. Włosy miała czarne, lśniące, oczy żywe, usta jak wiśnie.

— Kasiu,—rzekł Śpiewalski—mamy gościa, a ja zaraz jadę; dajże nam iakiego pożywienia.

— O, to Bartłomiej już wrócił?—odezwała się;—jakoś wcześnie w tym roku. Jeszcze jaskółki nie uciekły, a wy już w domu.

— Ha no, bo ja, jak stary bocian, gdy mogę lecieć, to lecę.

— Pewnieście z tego bociaństwa pieniędzy nie mało przynieśli?

— A no, trochę—na toć kura grzebie, żeby ziarnko znalazła...

— Będziecie siedzieli w domu przez zimę?..

Ma się rozumieć—toć we własnej chałupie, a dobrem sąsiedztwie, siedzieć miło...

— Eh, nie oglądajcie się na sąsiedztwo, ojciec teraz ciągle latają po świecie; w domu zburzenie zrobili, porządki nowe nastały...

— Idźno Kasiu, idź—rzekł Śpiewalski,—jeść nam daj...

— Odezwać się nie można...

— Będziesz miała dość czasu. Oj, te dzieci teraźniejsze! — rzekł po odejściu córki,— wszystko im się niepodoba, każde chciałoby rządzić ojcem i rozumu go uczyć na starość, ale ja nie dam sobie grać na nosie...

Katarzyna przyniosła pożywienie. Napili się sąsiedzi gorzałki, przegryźli chlebem i zabrali się potem porządnie do jedzenia. Było też i do czego. Kasza jaglana ze słoniną, właśnie najlepsze jadło przed podróżą,

bo ogromnie człowieka rozgrzewa i długo w nim ciepło utrzymuje.

Gdy zjedli i odsapnęli, Bartłomiej zapytał:

— Dokądże wy się Michale, wybieracie?

— A do Ogonowa, na jarmark.

— Hm... żebyście byli co dobrego, to byście mnie zabrali ze sobą. Mam chęć kożuch sobie kupić, a i dla babiny jaką ciepłą chustkę do okrycia...

Śpiewalski nie zaraz odpowiedział, znać było, że mu żądanie Bartłomieja na rękę nie jest, a nie chciał sąsiadowi takiej małej przysługi odmówić.

— No,—rzekł,—zabrać was to bajki, na furze miejsce jest, a konie uciągną; tylko najgorzej to, że niewiem, jak z powrotem będzie?

— Albo co?

— Bo ja takie, widzicie, mam różne potrzeby, że sam nie wiem, czy powrócę dziś do domu, czy też w dalszą drogę się puszczę.

— Na to wy, Michale nic nie zważajcie i o powrót mój frasunku nie miejcie. Na jarmarku ludzi nie brak, z kimkolwiek się zabiorę.

— Skoro tak, to jedźmy, ja tylko ogarnę się cokolwiek.

Rzekłszy to, do drugiej stancji wyszedł, a gdy niezadługo powrócił, Jarząbek aż gębę otworzył ze zdumienia.

Czy Śpiewalski, czy nie Śpiewalski?

Jużcić po twarzy spojrzawszy, — Śpiewalski, ale po sobie... zupełnie co innego.

Buty miał wyczyszczone szuwaksem, aż się świeciły; spodnie jakieś kolorowe, — nie po gospodarsku w cholewy schowane, ale na wierzchu, do samej ziemi; kamizelka, surdut, na szyi szalik wełniany, czerwony, miejską modą, a na to wszystko paltot popielaty przywdział... W ręku kaszkiet trzymał, także osobliwy, z klapkami i guzikiem na wierzchu, oraz laskę z cynową gałą, dużą, jak dobry kartofel.

— Michale! — zawołał Jarząbek, — co to się z wami porobiło? Gdzie wasza sukmana, gdzie buty, gdzie pas?..

— Aha,—odpowiedział Śpiewalski,—pas! A może jeszcze z kaletą, z cygankiem na rzemyku i z krzesiwkiem!?

— Toć nosiliście taki jeszcze na wiosnę...

— Na wiosnę jest co innego, a na jesieni może być co innego. Ot, nie bałamućmy, siadajmy. Parobek już na furze.

— Dziwno mi...

— Dziwujcie się, skoro wasza wola, ale niema czego. Każdy tak robi, jak mu lepiej i jak mu wypada...

Wgramolili się na wasąg, parobek śmignął biczem i tęgie, wypasione koniska pobiegły ostrym kłusem.

Bartłomiej coraz to nieznacznie zerkał na Śpiewalskiego i śmiać mu się chciało i ogromnie ciekawy był, skąd się wzięły zmiany w chacie i w ubraniu, ale pytać się nie śmiał.

— Niech tam!—myślał sobie,—dowiem się ja od ludzi; bez przyczyny nic się nie dzieje.

Sięgnął do kieszeni, wydobył pęcherz z tytuniem, fajkę i pomaleńku zaczął nakładać.

— Dajcie pokój, Bartłomieju,—odezwał się Śpiewalski,—schowajcie fajkę, więcej z nią zachodu, niż pożytku. Zapalcie oto lepiej cygaro. To jest dobra sztuka! Ogryźcie tylko koniuszczek, bo inaczej ciągnąć nie będzie...

— Nowomodna rzecz!—rzekł Jarząbek,—pańskie palenie...

— Lepszeć niż fajka...

— Po prawdzie, to i jedno i drugie licha warto, ale gdy się człek przyzwyczai, to i ćmi bez potrzeby. Ale zdaje mi się, Michale, że wy wcale nie paliliście dawniej, tylkoście tabakę niuchali...

— Zarzuciłem, bo tabaka pasuje tylko starym dziadom, a z cygarem w gębie człowiek wygląda stateczniej i porządniej.

— Uważam, żeście teraz porządki polubili, mój Michale...

— Wiecie—odrzekł Śpiewalski,—jęczmień tego roku u nas był jak na pokaz.

Osobliwy jęczmień. Jużem ja takiego z piętnaście lat nie widział, chociaż i na insze zboże grzech byłoby narzekać. Słomy dość i ziarna będzie dużo...

Zaczął Śpiewalski długo opowiadać o urodzajach, o nowinkach różnych; precz zagadywał, aby tylko rozmowę od swojej chaty, od swego przebrania odwrócić i Bartłomiejowi do słowa przyjść nie dać. Ogromnie wymowny się zrobił; Jarząbek słuchał tylko, głową kiwał, a w duchu myślał sobie.

— Kręcisz ty, bracie, jak żyd czapką na jarmarku; ale niech tam, szydła w worku szukać nietrzeba, wylezie ono samo...

II.

Gdy przyjechali do Ogonowa, było już blisko południe i jarmark jaknajlepszy. Moc ludzi, fur, koni, trzody, bydła, a żydów aż czarno.

Na rynku rozsiedli się różni rzemieślnicy z towarem: bednarze, stolarze, blacharze, szewcy, tandeciarze z odzieniem, czapnicy, kożusznicy, faryniarze z okrasą, żydówki z jabłkami i obwarzankami; dalej znów cudak jakiś przed budą płócienną stał, trąbił

na trąbie, walił w bęben i wołał na ludzi, aby szli nadzwyczajne sztuki oglądać. Obiecywał, że będzie noże łykał, rozpalone żelazo jadł i dziwne osobliwości pokazywał. Drugi znowuż, na drewnianej budzie, na dachu, jeszcze cudaczniej ubrany, na rękach chodził, na głowie stawał, wyłamywał się dziwacznie i do środka budy zapraszał, obiecując, że pokaże takie rzeczy, jakich jeszcze świat nie widział. Mówił, że czego Paryż nie zna, Londyn nie zna, to Ogonów pozna, jako że jest miasto porządne, choć od tamtych trochę mniejsze.

Tłoczyli się ludzie do jednej i do drugiej budy, a obaj wydrwigrosze pieniądze do kieszeni zgarniali, śmiejąc się zapewne z ciekawych.

W sklepach, w kramach, w szynkach, narodu było pełno, jak nabił; dalej znów za sklepami rozlegał się ryk bydła, rżenie koni i kwik świń; rozmówić się nie było można w rozgardyaszu, to też każdy krzyczał i darł się na całe gardło, jeżeli chciał, aby go kto usłyszał i zrozumiał.

Na rynku Śpiewalski rzekł do Jarząbka:

— Idźcież wy tedy, Bartłomieju, kupcie sobie kożuch i co wam potrzeba, a przed samym wieczorem zapytajcie o mnie parobka; jeśli do domu jechać mi wypadnie, to was

chętnie zabiorę, jeżeli gdzieindziej, to radźcie sobie, jak możecie...

— Bóg zapłać! a może wcześniej was obaczę, to możebyśmy wstąpili do Szmula.

— Nie wiem, nic nie wiem, odpowiedział Śpiewalski i zaczął się przeciskać między furami przez sam środek rynku, jakby się bardzo spieszył.

Bartłomiej spojrzał za nim i chciał odejść, lecz spostrzegł, że Śpiewalskiego parobek śmieje się okrutnie, aż mu wszystkie zęby widać.

— A ty Jasiek z czego się tak cieszysz?— zapytał Jarząbek...

— Ja się nie cieszę, jeno mnie śmiech bierze...

— No, powiedz...

— Powiedziałbym ja, ale się boję; gospodarz by mnie zeprał na kwaśne jabłko.

— Ciekawym za co?

— Za to, że się śmieję...

— No, to się nie śmiej...

— Aha, nie śmiej się, kiedy się wstrzymać nie mogę. Okrutnie Śpiewalski dokazują od czasu śmierci nieboszczki. Przebrali się po szlachecku, izbę utrzymują jakby w jakim dworze, kazali sobie zrobić brykę żółtą z siedzeniem i z koziołkiem na przodzie—a sami ha! ha!..

— No co takiego?

— Et, nie każcie gadać, Bartłomieju, bo i tak język mnie świerzbi i jeszcze co wyplotę. Zwaryował dziad na starość, czy może szaleju się objadł. We wsi jeszcze nie bardzo kto wie o wszystkiem, ale ja z nim jeżdżę wszędzie, to...

— To i co?

— Już nic nie powiem—obaczycie sami.

Jarząbek nie wypytywał; spokojny to był człowiek, plotek nie lubił, a chociaż go zmiany, jakie Śpiewalski porobił, bardzo zaciekawiały, wołał czekać do czasu, aniżeli naglić parobka i od niego się dowiadywać. Miał też i sprawunek do zrobienia, więc rad był wcześniej się tem zająć.

Kożuch kupić—nie łatwa rzecz: ze dwie kopy trzeba przerzucić i obejrzeć, zanim się co porządnego znajdzie, a i na wytargowanie trzeba czasu. Sprawunek taki raz na kilka lat się robi i pieniędzy nie mało kosztuje.

Na rynku za wielkim stosem kożuchów żyd siedział, a ujrzawszy, że Bartłomiej przygląda się zdaleka, zaraz zaczął wołać.

— No, gospodarzu! chodźcie, nie bójcie się, mój towar spokojny, nie kąsa... Wy chcecie kupić kożuch?!

— Może i chcę...

— Ja wiem, że chcecie. Teraz do zimy idzie, jakże taki znaczny gospodarz mógłby

być bez kożucha? Chodźcie no bliżej, obacz-cie, przymierzcie, przekonajcie się, jaka w nim ciepłość jest. A co — dodał, gdy Bartłomiej pierwszy z brzegu kożuch na siebie przywdział, — a co? wam się pewnie zdaje, że to kożuch?

— A cóż ma być?

— To jest pierzyna, to piec jest, to łaźnia! Co ja gadam? W łaźni nie jest tak ciepło, jak w tym kożuchu... A jak on na was pasuje! Przysiądz można, że jest na urząd robiony...

— Zdaje się, że trochę zaciasny...

— Co to za gadanie! Naprzód nie jest ciasny, a powtóre choćby i był trochę ciasny, to właśnie lepiej. Obcisło to ciepło, przestrono—to wiater zalatuje i chłodno jest...

— Dawajcie drugi, sprobuję.

— Bierzcie drugi. Aj! wy macie szczęście do kożuchów. Pierwszy trafił się wam doskonały, drugi jeszcze lepszy — to gatunkowe futro... Patrzcie, jaka wełna, czyste sobole...

— A juści „sobole, bo w plecy kole.“

— Nie żartujcie, na moje sumienie, ja prawdę mówię; jeżeli znajdziecie na całym jarmarku lepszy kożuch, to niech ja nigdy nie choruję..!

— Juści niezgorszy kożuszyna — rzekł Bartłomiej,—tylko że za duży.

— Macie się o co martwić? To właśnie cały smak w kożuchu. Wy go możecie włożyć na większą sukmanę, wy się nim otulicie dobrze, wy nie zziębniecie, choćbyście cały dzień robili w lesie na mrozie, po kolana w śniegu... Czy ja nie znawca na takie interesa? Ha, ha! ilu gospodarzy ma odemnie kożuchy... Wy zdaleka?

— Z Przytuchy...

— No, to się spytajcie Śpiewalskiego, pana Śpiewalskiego spytajcie, jakie futra ma Abram, to wam Śpiewalski powie.

— Kupił od was kożuch?

— Kożuch? Na co jemu kożuch? Ja jemu robię na urząd delię...

— A cóż to za delia znowu?

— Widzę że nie jesteście znawca. Delia to jest pańskie futro, to hrabiowskie odzienie. Obaczycie na nim niedługo, nie poznacie go... Nie wiecie, co to delia?

— Doprawdy, że nie wiem...

— To jest takie futro wielkie, szerokie, długie do samej ziemi, z czarnych baranów, włos na sześć cali, a świeci się, jak malowany. Na wierzchu sukno, porządne, grube sukno, a na plecy spada kołnierz, co na niego duże dwie skóry wychodzi. To jest odzienie, to śliczny statek! Trzeba dobrego chłopa, żeby ten interes udźwignął. No teraz wiecie, co to delia?

— A toć znam, tylkom nie wiedział, że to się tak nazywa cudacznie.

— Słuchajcie, może wy sobie też taką delię każecie zrobić? Może teraz taka moda nastanie...

— Eh, nie, niemógłbym się ruszać w podobnem odzieniu, mnie potrzebny bo kożuch gospodarski, do roboty...

— No, toć macie, ile chcecie, wybierajcie...

Zeszło dobre dwie godziny, zanim Bartłomiej kożuch sobie wybrał. Z kopę ich przerzucił, bo to jeden za długi, drugi za krótki, w innym znów wełna rzadka, w owym skóra niemocna. Nareszcie znalazł, co chciał,—porządny kożuch gospodarski, żółty z białą wełną; znalazł i, potargowawszy się z godzinę, kupił.

— Aj, waj, jak on wam pasuje, jak pasuje! — mówił żyd cmokając ustami.—Nawet ślepy pozna, że wy macie piękny, nowy kożuch...

— No, to prawda,—boć i śmierdzi bestyja na urząd...

— Śmierdzi? Co to jest śmierdzi! Jeżeli chcecie zapachu, to idźcie do apteki, kupcie sobie miętowe perfumy — a skoro żądacie ciepłości i wygody, to sobie wąchajcie kożuch. Na co taka fanaberya, takie grymasy!?

Chociaż nie było zimno, Bartłomiej odział

się w nowy kożuch, ściągnął się w pasie rzemieniem i poszedł po inne sprawunki.

Wnet poty na niego uderzyły, ale kożucha nie zdjął; chciał się ludziom w porządnem odziewadle pokazać, żeby wiedzieli, iż się już zimy nie boi. I chodził w tym żółtym kożuchu od kramu do kramu, od sklepu do sklepu, targował się i precz sprawunki robił. Wiedział on dobrze, co ma kupować, bo to sobie jeszcze, gdy był na robocie, przez całe lato obmyślał: dla siebie kożuch, kobiecie swej chustkę ciepłą, synowej chusteczkę, wnuczkom obwarzanków, synowi zaś, zaraz po powrocie do ręki dał kilka rubli, aby sobie sprawił, co sam chce.

Już się słońce miało ku zachodowi, gdy Bartłomiej, wszystko załatwiwszy, przypomniał sobie, że jeszcze okrasy parę funtów ma kupić. Udał się przeto do rzeźnika.

Najpierwszy to faryniarz był na cały Ogonów; nazywał się Jan Kieliszek, ale żądał, żeby go Kieliszkowskim zwano i tak też na niego ludzie wołali.

Miał swój dom i małe mieszczańskie gospodarstwo, ale głównie rzeźnictwem się trudnił; skupował w okolicy wieprze, zabijał je, robił kiełbasy, kiszki, wędzonki, solił słoninę i doskonale na tym wychodził.

Po wszystkich jarmarkach, po odpustach, towar swój rozwoził i byłby z pewnością ła-

dnego dorobił się grosza, gdyby nie to, że lubił hulać i większą część zarobku trwonił na to. Dość było na niego spojrzeć, aby poznać, że na jadło i piwo sobie nie żałuje. Gruby był, jak beczka, twarz miał czerwoną, nos aż granatowy, kark jak u byka. Pijał ciągle piwo bawarskie, nie rachując butelek, przez cały dzień, dopóki sen go nie zmorzył.

Znany był ten Kieliszkowski na całą okolicę, a że dawał towar dobry, wagę rzetelną, więc wszyscy szli do niego, jak w dym, i groszaki nieśli. Bartłomiej też nie do kogo innego po sprawunek się udał.

Dom Kieliszkowskiego znajdował się niedaleko rynku, na bocznej ulicy; był miejskim obyczajem zbudowany porządnie, malowany, z okienicami, i dzielił się na dwie połowy. Po jednej stronie znajdowała się niby bawarya, niby coś lepszego, niż szynk, ale w gruncie rzeczy szynk, utrzymywany przez szwagra pana Kieliszkowskiego, Macieja Pikułę, po drugiej sklep rzeźnicki.

Podczas jarmarku i na jednej i na drugiej stronie zawsze bywało pełno ludzi, gdyż Pikuła dawał mocną gorzałkę i dobre piwo, a pękaty jego szwagier, a raczej jego żona, starali się, aby było gorące pożywienie dla gości.

Łakomił się nie jeden na barszcz z wędzonką, kiełbasę z kapustą, na schab, na

kiszki, tembardziej, że podawano to czysto, na białych talerzach, i nie drogo.

Jarząbek wszedł do rzeźnickiego sklepu, zażądał, co mu było potrzeba, i zanim mu odważyli, rzucił okiem dokoła.

W drugiej stancyi znajdował się Śpiewalski obok córki gospodarza, Rózi, a tak się do niej wdzięczył, tak jej nadskakiwał, a tak się śmiał wesoło, nie jak stateczny człowiek, który kopę lat dźwiga, lecz właśnie jak młodzik, co się do dziewczyny zaleca, a nawet prawdę powiedziawszy, niejeden młodzik nie byłby taki śmiały i taki wymowny, jak ten dziad.

Teraz zmiarkował Bartłomiej, z czego się parobek śmiał...

— Michale!—zawołał Jarząbek, zaglądając do drugiej stancyi,—sąsiedzie... Słówko chcę rzec...

Śpiewalski zerwał się jak oparzony, a Rózia śmiała się do rozpuku...

— Panie Śpiewalski,—mówiła,—niechże się pan Śpiewalski obejrzy—wołają pana...

— To wy... Bartłomieju...—wyjąkał...— a tak... to wy...

— A no ja. Nie przeszkadzam wam, bawcie się w dobrej kompanji i weselcie... tylko chciałem się spytać, czy jedziecie do domu, czy też wam inaczej wypadnie...

— Pan Śpiewalski pojedzie do domu za godzinę—rzekła, śmiejąc się Rózia...

— Panienka tak mówi—odpowiedział Bartłomiej,—ale może Michał inaczej sobie obmyślił?..

— Pan Śpiewalski pojedzie za godzinę—powtarzała uparcie dziewczyna, ciągle się śmiejąc,—bo ja tak panu Śpiewalskiemu każę. Dość już zabawy. Dziś jarmark, późno spać poszłam, do dnia wstałam, chcę spoczynku. Pan Śpiewalski, jeżeli zechce, może przyjechać jutro, pojutrze, w powszedni dzień. Zresztą, ja tak panu Śpiewalskiemu każę i dość.

— A gdybym ja nie posłuchał—rzekł Michał—czerwieniąc się, bo wstyd mu było przed Bartłomiejem, że jest tak mustrowany przez dziewczynę.

— Co? nie posłuchał? Niechno pan Śpiewalski spróbuje! Patrzećbym na pana nie chciała, zabroniłabym panu pokazywać się tutaj. Ja bo nierozumiem kochania bez posłuchu...

— Ale... niechno Rózia...

— Jak się podoba. Wielka mi rzecz... Albo ja nie znajdę kawalera... Oj, oj! żebym tylko chciała... jedno słowo, zlecą się jak muchy...

— Przecież ja—bąkał coraz bardziej zmieszany Śpiewalski.—Przecież ja nic złego.

— Dała jabym panu Śpiewalskiemu co złego! No, no, nie marudzić, jechać do domu, wywczasować się... Dobranoc...

— Toć miała być godzina.

— Trzeba było słuchać.

— Ej Róziu, Róziu... Poskarżę się przed ojcem i przed matką...

— No to co? Nie boję się nikogo... Chce pan Śpiewalski skarżyć, to niech skarży, tylko niech się tu więcej pokazywać nie waży...

— Dwa słowa na osobności,—prosił stary,—Róziu, panno Róziu... tylko dwa słowa.

— No, to proszę powiedzieć do ucha. Nachylił się do niej i szeptał, snać prosił, żeby go przy sąsiedzie i przyjacielu tak nie mustrowała. Pokręciła głową, roześmiała się i rzekła:

— Co tam sąsiad. Sąsiad dobry człowiek, z oczu mu to patrzy. Lepiej, zamiast pleść trzy po trzy, zaprosiłby pan Śpiewalski oto sąsiada, poczęstował czem dobrem...

— Nie trzeba — wymawiał się Bartłomiej,—ja nie głodny, jedźmy lepiej do domu.

— Ale, skoro Rózia tak każe — odezwał się Śpiewalski,—to proszę was, Bartłomieju, nie wymawiajcie się. Ona zawsze dobrze mówi...

— Sama wam usłużę, panie Bartłomieju— dorzuciła dziewczyna,—nie wymawiajcie się!

I zaraz przyniosła na talerzu jedzenia dobrego, flaszkę z wódką i piwo.

Bartłomiej mało co mówił, udając, że jest bardzo zaprzątnięty jedzeniem, patrzył jednak wciąż zpod oka i wydziwić się nie mógł, co się z jego sąsiada zrobiło; jak się dziad zwijał, jak onej dziewczynie nadskakiwał...

W godzinę później odjechali. W drodze Śpiewa ski rzekł do Jarząbka...

— Teraz miarkujecie pewnie, Bartłomieju, co się święci.

— A toć miarkuję, ale...

— No, no, nie bójcie się, wiem ja, co robię. Choć niby lata są, alem jeszcze człek krzepki, niejednego młodego mógłbym przeskoczyć, a wyglądam przecie wcale nieźle.

— No jużci—jak jagoda po świętym Marcinie—szepnął Bartłomiej i już nie rozmawiali o tem, bo niejako im było przy parobku.

III.

Upłynęło parę tygodni, jesień zaczęła się już na dobre, nastały chłody i szarugi. Pola, całkowicie już ogołocone ze zboża, wyglądały smutnie, nie słychać było wesołego śpiewu ptasząt, tylko wrony krakały, tylko wróble

świergotały koło zabudowań, pożywienia szukając.

Ukończono już siewy jesienne, wykopano kartofle, w stodołach rozlegał się miarowy odgłos cepów, bo ludzie do młocki się wzięli. Bydło chodziło jeszcze po ugorach i pastwiskach, ale już pożywienia wiele znaleźć nie mogło; wieczory były coraz dłuższe, w parę godzin po południu już w oknach wszystkich chat w Przytusze jaśniały światła.

Siedzieli ludzie po chałupach, to znów gromadzili się w karczmie na pogawędkę.

Gawędzili dużo, ale, co prawda, nie tak jak zwykle: nie o urodzaju, nie o cenach zboża, o zarobkach, gospodarskich kłopotach, o tem co zazwyczaj myśli wiejskich mieszkańców zajmuje, tylko o Śpiewalskim.

Stary i mały, mężczyzna, kobieta, dzieciak, wszyscy to nazwisko mieli na ustach. Śmieli się jedni, dziwili drudzy, a najbardziej dogadywały kobiety, mające na wydaniu córki. Te powstawały najczęściej, bo chociaż wyśmiewały Śpiewalskiego, że grzyb, że stary, że prędzej mu o trumnie, niżeli o żonie myśleć, jednak, gdyby tylko był chciał, każda z nich oddałaby mu, z pocałowaniem ręki, własną córkę. Dziad dziadem, a majątek majątkiem, zaś Śpiewalskiego fortuna ładna była, gospodarstwo duże, zasobne i gotowizna też.

Ile on miał pieniędzy, oczywiście nikt nie rachował, ale podług ludzkich gawęd—sporo...

I teraz, naprzykład, tyle wydatków poniósł, takie w domu porządki porobił, tyle nasprawiał odzienia, statków, a nie słychać było, żeby się o pieniądze zakłopotał, żeby pożyczył od kogo. Jak wodę ze studni, tak grosz gotowy z kieszeni wydobywał, płacił nie pytając, a cygaro wciąż w gębie trzymał i ludziom w oczy dym puszczał.

Coraz więcej bogactw jego się pokazywało. Żydzi z miasteczka,—bo czego oni nie wywąchają i nie dojdą,—przysięgali się na wszystko, że Śpiewalski Kieliszkowi, który zawsze w interesach był i grosza łaknął, pomimo dużych dochodów, sześćset rubli gotowego grosza pożyczył, a Rózi na oporządzenie też kilkaset dał... Wszystko to powoli zaczęło na jaw wychodzić.

Jankiel Szpilman, kupiec z Ogonowa, szynkarz i pieniężnik, co ludziom na procenty pożyczał, różne rzeczy opowiadał o Śpiewalskim Piotrowi Dzięciołowi, gospodarzowi z Przytuchy.

— Wy nie wiecie—mówił,—co jego to już kosztuje... a ile jeszcze będzie kosztowało!?

— Ha, skoro tak sobie upodobał.

— Ny, on głupi jest—rzekł żyd.—Co miał sobie upodobać!—Wielka rzecz, taka dziewka! My ją tu w mieście dobrze znamy; wie-

my co ona warta jest. Ten Śpiewalski lepiejby zrobił, żeby wszystkie swoje pieniądze w błoto rzucił, a sam żeby się odrazu powiesił. Na moje sumienie! zrobiłby lepszy interes...

— Et, nie plótłby Jankiel trzy po trzy; co innego się żenić, a co innego wieszać.

— Jak w tym razie, to wszystko jedno— możecie mi wierzyć. Zwarjował chłop na starość.

— Ha, — odrzekł Dzięcioł, — powiadają *u nas, że jak Pan Bóg* chce kogo ukarać, to mu rozum odbierze.

— U nas też tak powiadają i to wielka prawda jest. Tymczasem Śpiewalski jeszcze się nie ożenił, a już tyle grosza wydał—co będzie, jak się ożeni?

— Bo ja wiem. Najgorzej dzieciom. Spodziewały się po ojcu dostać fortunę, a teraz nic nie dostaną.

— Pewnie że nic.

— Zkąd jemu do głowy to przyszło?

— Ha, ha! Wy się pytacie?! To jest nieszczęście, wypadek jest. Czy człowiek wie, skąd może na niego przyjść takie zdarzenie, że, broń Boże, złamie nogę?! Na równej drodze bywają takie nieszczęścia, a ja sam słyszałem za młodu, że jeden starozakonny, zacny człowiek i wielka osoba, miał taki przytrafunek w łóżku, pod pierzyną...

— Jaki przytrafunek?

— Nogę złamał...

— Nie może być!

— Żebym tak szczęście miał! On sobie leżał w cieple, w wygodności, on sobie spoczywał—tymczasem krzyknięto:—gwałtu! pali się! fajer! On się przeląkł, chciał wyskoczyć z łóżka, tymczasem noga mu się zaplątała i... aj, waj! to był brzydki interes. Mnie się zdaje, że Śpiewalskiego rozum też złamał nogę i przez to teraz kuleje. Wszyscy mieszczanie ogonowscy *śmieją się z niego, a jak* przyjdą do mnie na wódkę, to niema między nimi innej rozmowy, tylko o Śpiewalskim. Oni opowiadają, że tam była wielka heca, cała komedya, jak na jarmarku. Kiedy Śpiewalski powiedział Kieliszkowi, że ma chęć z jego Rózią się żenić, to się i sam Kieliszek i jego kochana córunia bardzo obrazili i rozgniewali. Jakto? Taka panna, mieszczanka, córka takiego ojca, co, za przeproszeniem... świnie kole, ma wyjść za prostego chłopa, w sukmanie? Aj waj!—to nie sposób, to nie honorowy interes...

— Patrzcie ją!

— Takie fanaberye! Śpiewalski zaraz im przyobiecał, że się przerobi na pana i chłopską modę zarzuci.

— A toć przerobił się, przerobił...

— Dlaczego nie? Ma pieniądze, a kto ma pieniądze, może głupstwa robić; ale jeszcze nie na tem koniec. On musiał swój dom przerobić po pańsku, musiał Kieliszkowi pieniędzy pożyczyć, musiał dziewczynie dać na sprawunek... co mu tylko kazali.

— Zgłupiał dziad!

— No, dorzucił Jankiel, może on liczy na to, że swoje pieniądze od Kieliszka odbierze, bo dostał rewers na piśmie, ale podług mego zdania, to on prędzej swoje ucho zobaczy, aniżeli to, co mu Kieliszek winien.

— Toć to bogaty rzeźnik...

— My wiemy, co warto jego bogactwo.

Po namyśle żyd znowu mówił:

— Ten Kieliszek dużo dłużny jest; on mnie winien, mojemu bratu winien, szwagrowi mojemu też winien, ma dość długów. Gdyby chciał wszystkie zapłacić odrazu, to nic by z jego majątku nie pozostało. I dom by sprzedał i gospodarstwo i wszystko; musiałby chyba pójść do jakiego rzeźnika za czeladnika. I powiem wam prawdę, żeby nie Śpiewalski, to nasze żydki byliby go już kupili. Tymczasem widzą, że jest z czego pociągnąć—to i cicho siedzą. To takie jest bogactwo, takie jego majątki.

Dzięcioł, powróciwszy do Przytuchy, rozpowiedział sąsiadom, co słyszał i zaczęły rosnąć gawędy i plotki.

Jeden dodał trochę, drugi trochę, trzeci dorzucił, dziesiąty także, — i wieść poszła, poszła i rozchodziła się precz po okolicy, po sąsiednich wioskach, właśnie tak samo, jak owa kula śniegowa, co ją dzieci toczą, a im dalej posuwają, tem ona bardziej grubieje i rośnie.

W spokojnej zawsze i cichej wiosce aż się trzęsło.

Kobiety biegały od chaty do chaty, roznosząc różne nowe wiadomości; każda coś dorzucała od siebie, a wszystkie robiły istny jarmark po chałupach.

Śpiewalski tego nie wiedział, nie widział i nie słyszał; gościem teraz tylko bywał w domu i tak spekulował, żeby się z nikim nie spotkać i nie rozmawiać.

Przyjechawszy do domu późną nocą, odjeżdżał rankiem ciemnym, zanim jeszcze ludzie powstawali, nie było go w domu dwa, trzy dni, czasem i cały tydzień — i znów wpadł, jak po ogień, i znów uciekał.

Może się trochę swego postępowania wstydził, może chciał dzieciom z oczu zejść, aby od nich wymówek nie słyszeć, dość, że się krył przed swojakami, a tymczasem zapowiedzi szły we dwóch parafiach. W kościołach w Ogonowie i Przytusze z ambony młodą parę ogłaszano, więc się też wypierać zamiarów Śpiewalski nie mógł. Córki jego

przyjeżdżały kilka razy do Przytuchy z mężami, ale ojca nigdy zastać nie mogły, tak się im zgrabnie wywijał.

Tak się dziad oszołomił tem małżeństwem, tak się za ową ładną Rózią rozszalał, że już nie zważając na nic, na stare lata swoje, na obowiązki względem dzieci, na śmieszność, leciał do niej na oślep, jak ćma do płomienia.

Próbowali mu niektórzy tłómaczyć, że źle czyni... nawet proboszcz uwagi mu robił, ale Śpiewalski nie zważał na to, a księdzu odpowiedział tak:

— Grzechu nie czynię, że w sakrament małżeński wstępuję.

— A tak,—odrzekł proboszcz,—grzechu nie czynisz, to prawda, ale głupstwo wielkie popełniasz. Ostrzegam cię, że źle na tem wyjdziesz.

Nic to nie pomogło... uparł się dziad, jak kozioł, i klinem by mu nikt tego zamiaru z głowy nie wybił...

Ciągle prawie w Ogonowie przesiadywał i panny swej nie odstępował. Ładna Rózia, pewna swej nad nim przewagi, grymasy różne czyniła, o lada bagatelkę, lada głupstwo, zerwaniem małżeństwa grożąc.

Kieliszek też okrutnie był hardy i wielkiego pana udawał...

— Przystałem—mówił do Śpiewalskie-

go,—oddaję ci dziecko, chociaż z takiej znacznej familii, z takiego rodu wychodzi... Słowa nie cofam, ale chcę, żeby wszystko porządnie było. Rózia chce, żeby było wesele wspaniałe, ja też tego żądam. Niech ludzie pamiętają długo, niech pamiętają i wspominają ten dzień... Na koszt nie pożałuję, ale że akurat teraz przy pieniądzach nie jestem, to mi, kochany zięciu, pożycz, a przed świętami wielkanocnemi wszystko ci co do grosza oddam. Znasz mnie, że honorowy człowiek jestem...

— Znać, znam,—rzekł Śpiewalski, skrobiąc się po głowie,—ale...

— Jakie ale?

— Nie mam teraz...

— Wykręty!

— Sprawiedliwie powiadam. A choćbym i miał, toć przecie na wyrzucenie szkoda... żeby na jakie kupno, lub na co pożytecznego.

— A tak! to ci moja Rózia niepożyteczna? Z tej beczki zaczynasz? Nie napraszamy się... dziewczyna znajdzie męża lepszego... Do widzenia, panie Śpiewalski.

— Ale zaraz... bo też z pana Kieliszka gorączka... przecież zapowiedzi już idą...

— Mój panie, zapowiedzi to jeszcze nie ślub, a bywają też zdarzenia, że od ołtarza się rozchodzą...

— Czekajcież...

— Na co? O tem małżeństwie to jeszcze na wodzie pisano... może być, a może i nie być...

— Ja już tyle kosztu poniosłem...

— Wasza wola... Stać was było na mięso, nie żałujcież na pieprz, a skoro żałujecie, to idźcie sobie, skądeście przyśli i dajcie mi święty pokój.

Na Śpiewalskiego aż poty występowały; żal mu było pieniędzy, żal straconych kosztów, a najbardziej Rózi... Ubrdał on sobie, że bez jej ładnych oczu, bez jej uśmiechu, bez ząbków wyszczerzonych, życia dla niego niema. Wahał się przez chwilę, potem nagle wstał, pięścią w stół uderzył i rzekł:

— Niech się co chce dzieje—daję!

— O, tak trzeba było odrazu mówić,— rzekł Kieliszek,—tak, to rozumiem. Ze świecą w południe samo takiej drugiej dziewczyny, jak moja Rózia, nie znajdziesz... Idź-że tam do drugiej stancyi, do niej.

Śpiewalski dwa razy tego powtarzać sobie nie dał, wszedł i zastał Rózię zapłakaną, z głową opartą na rękach.

— Co to pannie Rózi?—zapytał z niepokojem,—co, moja jagódko...

— Niech pan Śpiewalski sobie idzie... zmartwienie mam...

— Ale jakie... jakie zmartwienie?

— Co panu do tego?

— A komuż, jak nie mnie, toć za tydzień będę mężem panny Rózi...

— Akurat!

— Może nie?

— Nie będzie pan Śpiewalski moim mężem, ani ja pana Śpiewalskiego żoną.

— Dlaczego... Róziu kochana... cóż się stało?

— Co tu gadać dużo... przeznaczenia niema i już...

— Ale ja chcę wiedzieć... W mojem usposobieniu odmiany żadnej niema.

— W mojem też: raz powiedziałam, że pan Śpiewalski mój kawaler... to mój... ale niema przeznaczenia... niema, nie!..

Znowuż zalała się łzami... Śpiewalski prosił, po rękach całował, zaklinał, żeby powiedziała mu prawdę, ale ta nic, milczała, jak kamień... Dziad o mało nie oszalał... Dopiero na bardzo gorące jego prośby wyjąkała:

— Niema przeznaczenia... bo niema sukni białej, ślubnej... matka sprawić nie chce... każe w różowej do ołtarza iść... a ja nie mogę... boję się, to zły znak... Czyby pan Śpiewalski sam chciał wziąść żonę bez welonu, bez białej sukni?..

— Choćby w zgrzebnym worku, Róziu kochana, wezmę cię moja najmilsza...

— Ja wiem, że pan poczciwy... ale nie

mogę, nie mogę... Nie bylibyśmy szczęśliwi... a ja tak pragnę szczęścia i dla siebie i dla pana...

— I dla mnie pragniesz?

— O, pragnę z całej duszy... Co ja bym za to dała, żeby pan był ze mną szczęśliwy, bo pan taki dobry... pan wart szczęścia...

— Ha, jeżeli tylko ta szmata ma na przeszkodzie stać, to nie wzgardź, Róziu... ile ci trzeba—może...

Wydobył z kieszeni duży pugilares i przed dziewczyną położył na stole...

Mądra Rózia nie wzięła odrazu, wzdragała się długo, Śpiewalski zaś prosił, zaklinał, po rękach całował, i tak to wyglądało, jakby nie on jej, ale ona jemu łaskę zrobiła.

— Bierz, bierz Róziu, to wszystko twoje... Ja twój, mój dom, moje gospodarstwo, majątek, co tylko mam, wszystko do ciebie należy...

— Kochany, poczciwy mój...—odrzekła, głaszcząc go po twarzy, i w jednej chwili łzy z jej oczu zniknęły, zaczęła śmiać się, śpiewać, szczerzyć ząbki.

— Tak to lubię,—mówił stary,—moja Róziu, zawsze powinnaś być wesoła, nie znać co zmartwienie i smutek...

— I pan tak samo...

— A juści, że i ja... Tańcowałbym z uciechy, jak młodzik.

— Pohulamy sobie na weselu...

Miało być za tydzień wesele—i Kieliszek sposobił się do niego, nie szczędząc zachodu i pieniędzy... zięciowskich... Wieprza co najlepszego zabił; z dwoma czeladnikami do roboty się zabrawszy, mięsiwa, kiszki, kiełbasy, salcesony przyrządzał, jak na jarmark; od szwagra swego Pikuły trunków nabrał moc, a jeszcze prócz tego z powiatowego miasta różnych nasprowadzał różności...

Kawy, herbaty, cytryn, śledzi, pomarańcz, wina—boć jakżeby wesele Rózi bez wina się obeszło? Choćby to był kwas taki, co gębę na drugą stronę wykręca, nic nie szkodzi—byle po pańsku.

W domu Kieliszka przez kilka dni ruch był nadzwyczajny; sam gospodarz z czeladnikami, zawinąwszy rękawy po łokcie, siekał, solił, pieprzył, piekł, smażył, wędził. Łomotały noże po stolnicach z takim hukiem, jak gdyby wojsko z bębnami przechodziło, dym z komina buchał gęstemi kłębami, a zapach różnego mięsiwa rozchodził się koło domu tak silny, że psy z całego miasta zbiegały się na tę uliczkę.

Kieliszkowa, przy pomocy siostry swej Pikuliny i dwóch uproszonych kobiet, miesiła ciasto, tłukła w moździerzu cukier, przebierała migdały, rodzenki, szafran, boć placki miały być słodkie, pachnące i żółte.

W wielkich saganach gotowało się mięso, kłęby pary, niby w łaźni, unosiły się w izbie.

Rózia nie wiele pomagała matce, gdyż miała głowę zaprzątniętą czem innem; trochę porządkiem w stancyach, gdzie mieli być przyjmowani goście, a najbardziej strojem swoim, ślubną suknią, którą z wielkim pośpiechem szył damski krawiec Berek. Coraz, chuścinę zarzuciwszy na głowę, biegła Rózia do niego z żądaniem różnych przeróbek i dodatków; żydzisko głowę tracił, jak tym grymasom dogodzić. Próbował pochlebstwem uspokoić próżną dziewczynę.

— Aj waj, aj waj,—mówił, cmokając ustami,—na moje sumienie! w tej sukni panna Rózia będzie wyglądała, jak hrabianka.

— Proszę! a teraz jak wyglądam?

— Teraz panna Rózia wygląda tak sobie... jak panna Rózia.

— Niechno Berek dużo nie gada...

— Za co się panna Rózia obraża? Co ja złego powiedziałem?

— No, no, jak ja wyglądam, to wyglądam, niech was to nie obchodzi, boście na takie rzeczy nie znawca.

— Ja nie znawca? Ja, najpierwszy krawiec na cały Ogonów, nie mam być znawca?! Tyle lat robię suknie dla pań: dla pani doktorowej, burmistrzowej, aptekarzowej, dla

różnych pań ze wsi, to któż może być lepszy znawca, niż ja?

— Kto jest, to jest, ale nie Berek.

— Aj, przepraszam, teraz już wiem, kto, już wiem.

— A kto?

— Śpiewalski... pan Śpiewalski... on się na pannie Rózi poznał, a panna Rózia na nim... śliczna będzie para, na moje sumienie. Całe miasto pannie Rózi zazdrości.

— Mają czego... pan Śpiewalski... jest osoba, nie młodzik, ale pieniędzy ma dużo, a wiadomo, że za pieniądze wszystko można kupić, nawet...

— Co można, to można; niechno Berek do sukni się bierze, żeby na czas była.

— Będzie... będzie,—a jaka! Ja już dawno nie robiłem tak ładnej, tak bogatej sukni. W zeszłym roku jednego dzierżawcy córka szła za mąż, ale jej suknia ślubna była dużo gorsza... przy tej wyglądałaby, jak łachman.

W dniu wesela Śpiewalski raniuteczko wymknął się z domu; do córki ani słowa nie przemówił, śniadania nie jadł, tylko natychmiast kazał konie zaprzęgać i naglił parobka, żeby pośpieszał. Katarzyna dobrze wiedziała, że ojciec na swoje wesele jedzie, ale nie mówiła nic, wiedziała, że starego nie przekona, więc zamknęła wszystką żałość w sobie i milczała, jak grób.

Gdy Śpiewalski na bryczkę już miał wsiadać, odezwał się do córki.

— Nic nie masz mi powiedzieć, Kasiu?

— Nic, ojcze.

— Hm... zapewne nie wiesz, po co jadę.

— Owszem, wiem.

— I co?

— A nic... szczęśliwej drogi.

Stary pokręcił głową, przez chwilę zawahał się, jak gdyby pragnąc tłomaczyć się przed córką z tego, co czyni, ale to wahanie krótkie było; przypomniał sobie Rózię, machnął ręką i wyszedł z izby. Po chwili odjechał, rad że dzieci go nie zaczepiają i że nie ma z niemi komedyi. Mylił się jednak; dzieci wiedziały dobrze, co się święci i pragnęły koniecznie, choćby w ostatniej chwili, złemu zapobiedz.

Na drodze, pod samym prawie Ogonowem, czekali na niego zięciowie, córki i wnuczki, choć małe, ale nauczone przez rodziców, co trzeba mówić. Gdy Śpiewalski nadjechał, pozsiadali z wozów, zatrzymali konie—i w prośby.

Stary brwi zmarszczył.

— Co chcecie! — zawołał, — przejechać spokojnie nie dacie. Co to? Napaść na środku drogi?

— Ojcze! tatusiu, dziaduniu!

Córki zaczęły płakać, a małe wnuczki,

nauczone przez rodziców, krzyczały w niebogłosy.

— Jedź!—krzyknął Śpiewalski na parobka.

Zięciowie zatrzymali konie.

— Ojcze,—rzekł jeden z nich,—my nie napadamy, ale prosimy. Zatrzymaj się... wróć do domu.

— Nie w swoje rzeczy się wtrącacie. Co to, młodzik ja jestem, żeby mi kto rozkazywać miał. Robię, co mi się podoba, a wam do tego nic.

— Ojcze!—zawołała najstarsza córka,—nie gubcie się, wracajcie, póki czas. I tak już was ludzie na języki wzięli, śmieją się z was, szydzą, aż serce boli słuchać. Tegoście się na stare lata doczekali!

— Niech się ojciec rozmyśli, rzekł drugi zięć. Chyba was złe opętało, że w taką familię wchodzicie; tyle już z was wyssali, a co będzie później? Na dziady zejdziecie, kawałka chleba wam zabraknie.

— Dziadziu, dziadziu!—piszczały dzieci.

— Ojcu się zdaje,—lamentowała młodsza córka,—że ona do ojca przywiązanie ma? Ona tylko pieniądze wasze kocha... szczerzy do was zęby przed ślubem, a później dopiero pazury pokaże, wstydu wam narobi, życie zatruje, godziny spokojnej mieć nie będzie-

cie... Ojcze! przeżegnajcie się, odpędźcie od siebie to pomyślenie szalone.

Że wszyscy naraz mówili, a małe dzieci darły się, jak oparzone, Śpiewalski do słowa przyjść nie mógł. Zły był, twarz mu poczerwieniała, jak burak, a oczy błysnęły ogniem, jak kocie...

— Cicho! — zawołał, cicho! — odkądże to dzieci mają rozkazywać rodzicom? Co czynię, to czynię, taka jest moja wola, a wam do tego zasię! Niby to z dobroci i życzliwości przemawiacie do mnie, niby o moje szczęście wam chodzi. Nieprawda, fałsz! Wam nie mnie, ale majątku mojego żal, że go nie będziecie mogli po mojej śmierci rozdrapać. Cicho! dajcie dokończyć, co chcę powiedzieć. Wam do majątku mojego nic. Nie dostałem go od was, nie ukradłem nikomu. Sam się dorobiłem, własną pracą. Wolno mi te pieniądze spalić, w błoto wrzucić, przepić, co mi się tylko podoba uczynić.

— Ojcze!

— Tatusiu!

— Dziadziu!

— Ustąpcie z drogi!

— Zastanówcie się... pomyślcie.

— Ustąpcie, mówię, bo... przeklnę was, do siódmego pokolenia!

Córki uderzyły w płacz, a mąż starszej cofnął się od bryczki i rzekł:

— Oszalał.—Kara Boża, czy co? Nie zatrzymujmy go, on przeklinać nas chce, a my prośmy Boga, żeby kiedyś sam siebie nie przeklinał.

— Jedź! — krzyknął Śpiewalski na parobka,—jedź łajdaku!

Chłopiec ćwiknął konie biczem, te galopem z miejsca porwały i popędziły jak wściekłe.

W Śpiewalskim gotowało się, burzyło, kipiało. Może on czuł, że źle robi, że dzieciom krzywdę wyrządza, może umiarkował, że i sam w przepaść leci, może odzywał się w nim głos rozsądku, ale gdy wspomniał sobie o Rózi, o jej oczach figlarnych, białych ząbkach, to go szał jakiś ogarniał.

— Niech dzieci płaczą,—myślał sobie,— niech ludzie się śmieją, niech się świat zapada—byle ją mieć za swoją, za własną.

— Jedź, jedź,—wołał na parobka; ten machał biczem, konie wyciągały się jak struny, koła bryczki dudniły po twardej, zmarzniętej drodze.

Przybywszy do Ogonowa, Śpiewalski z bryczki zeszedł i do cyrulika Icka się udał.

— Ogól-no mnie, — rzekł,—tylko czysto i pięknie, jak na wesele.

— Niech pan Śpiewalski będzie spokojny... ja moją sztukę dobrze znam.

Usadził go na krześle, twarz mu na-

mydlił i zaczął ją drapać starą brzytwą, aż trzeszczało. Śpiewalski zęby ścisnął z bólu, ale cierpiał, dopóki mu żyd do czysta brody nie oskrobał. Zaciął go tylko dwa razy, ale wnet ranki bibułą zalepił. Śpiewalski miał co chciał. Ogolił go żyd pięknie i gładko, tak że duża, pełna twarz oblubieńca wyglądała akurat, jak młody kartofel łaciak, gdy go baba łyżką blaszaną oskrobie i do wody wrzuci.

Spojrzał stary w lusterko, resztki mydła rękawem z twarzy otarł i do domu Kieliszka się udał.

— Niech będzie pochwalony,—rzekł,—gdzie Rózia!

— Oho!—odrzekł Kieliszek,—śpi jeszcze, dopiero o dziesiątej kazała się obudzić.

— Czy, broń Boże, zasłabła?—zapytał z niepokojem.

— Nie znawca jesteś, panie zięciu—odrzekł Kieliszek.—Każda dziewczyna zawsze chce ładnie wyglądać, a cóż dopiero panna młoda w dzień ślubu. Takie to już usposobienie kobiece. Rózia nie kazała się budzić, bo chce być wywczasowana, świeża, ładna. Rozumiesz, panie zięciu?

— Rozumiem.

— Dla ciebie ona to czyni i, prawdę mówiąc, nie wart jesteś takiej ślicznej żoneczki.

— Widać żem wart, skoro mi ją da-

jecie — rzekł Śpiewalski z uśmiechem, nagle jednak zamyślił się i spochmurniał. Dostrzegł to Kieliszek.

— Cożeście tak osowieli — zapytał — co wam?

— Et, nic.

— Gadajcież — przecież nie obcy sobie jesteśmy; teraz przyjaciele, a za kilka godzin, po waszym ślubie z Rózią — krewniacy — blizcy krewniacy: ja niby wasz ojciec, a wy niby mój syn... Szczerość pomiędzy nami powinna być wielka. Prawda?

— A no, pięknie mówicie i prawdziwie, to też przyznam się wam, panie Kieliszkowski, że z dziećmi duże utrapienie mam. Opadły mnie na drodze...

— Aha—żebyście się nie żenili...

— Juści...

— Mój panie Śpiewalski, nie wy pierwszy i nie wy ostatni macie taki przytrafunek. Bywa tak zawsze, gdy ojciec owdowieje i chce się żenić, a ma dzieci dorosłe. Zaraz w lament uderzą, niby z wielkiego kochania, a to nie o kochanie idzie, nie o życzliwość, ale o majątek. Właśnie żeby dzieci były dobre i szczere, to namawiałaby ojca do małżeństwa.

— Pewnie.

— Nieinaczej, nieinaczej. Owszem,—powinny się cieszyć, że ojciec będzie miał

opiekę, że nie będzie na łasce sługi, albo najemnicy, że w swoim czasie zje, w swoim czasie świeże obleczenie dostanie, że w razie zasłabnięcia dojrzy go życzliwa i przywiązana żona. Dzieciom o to wcale nie idzie, tylko o wasz majątek, i pewno pogrzeb ojca większąby im uciechę sprawił, aniżeli wesele...

— Święta prawda, ja tak samo myślę, aleć zawsze człowiekowi markotno...

— Śmiać się z tego! Oto, kochany zięciu, smutek precz odrzuć—tóć dziś wesele twoje i Rózi byłoby nie miło, gdyby ujrzała, że skrzywiony jesteś, jak środa na piątek. Jadłeś już dziś śniadanie?

— Gdzie tam! Raniuteczko z domu wyjechałem.

— Ja też jeszcze jestem o czczej duszy—trzeba się tedy pożywić. Jest herbata, bo u mnie wszystko elegancko, po nowomodnemu, ale przy dzisiejszym dniu możeby lepiej było inaczej zacząć, dawniejszym sposobem. Gorzałki dobry kieliszek, mięsa kawałek i gorącego barszczu. Co?

— Ano dobrze, niech i tak będzie—rano wstałem, potem zgniewałem się na dzieci,—wszystko się we mnie wzburzyło i teraz głodny jestem, jak wilk.

— Wiem ja, mój kochany zięciu, wiem. Tak to zawsze, jak człowiek głodny, to i zły, a gdy się wyzłości, toby znowu jadł. Zacze-

kajcież trochę, zawołam szwagra, we trzech raźniej nam będzie...

Przyszedł wnet Pikuła i wszyscy trzej zabrali się do jedzenia, pożywili się zdrowo. Śpiewalski poczerwieniał na twarzy jak gotowany rak.

— Pan młody—dogadywał Pikuła,—jak malowanie; żaden młodzik takiej czerwoności na gębie nie ma.

— Niema co gadać—wtrącił Kieliszek— człowiek letni, ale zdrów, jak krzemień, mocny i będzie do stu lat żył, co daj Boże...

— Daj Boże — powtórzył Pikuła — ja życzę...

— Dziękuję wam, rzekł rozczulony Śpiewalski i obudwóch ucałował.

Kieliszek już sobie podochocił.

— Słuchaj-no zięciu—mówił;—dotychczas było nas dwóch: ja i szwagierek, a żyliśmy z nim i żyjemy, jak bracia; teraz ty przychodzisz do naszej kompanii i będziemy sobie we trzech—i też jak bracia! Dobrze? Zaraz po weselu spółkę zrobimy i handlować będziemy razem, puścimy się w drogę, z jarmarku na jarmark, nakupimy wieprzów i do Warszawy. Ogromne pieniądze zgarniemy. Co zięciu kochany, dobrze?

Pikuła na całe gardło się roześmiał.

— Oto żeś trafił, szwagierku, jak kulą w płot!.. Niechże cię nie znam!

— A cóż takiego?

— Zechce ci on od młodej żony odejść i po jarmarkach się włóczyć? Jego teraz z domu kijem nie wypędzi.

— Prawdziwie — rzekł Śpiewalski — chciałbym jakiś czas w chałupie posiedzieć i odpocząć.

Kieliszek, któremu pewna myśl niby ćwiek w głowie utkwiła i na to radę znalazł.

Masz racyę, szwagrze—i ty także masz racyę, zięciu, i ja też mam.

— A to jakim sposobem?

— Odpoczynek odpoczynkiem, a handel handlem. Ty sobie, panie młody, w domu przy żonie będziesz wypoczywał, ile ci się podoba, a my ze szwagrem na jarmarki się puścim, tylko trochę pieniędzy do spółki naszej złożysz. Co, dobrze?

— Pomyślę o tem—odrzekł Śpiewalski, chcąc się wykręcić sianem,—pomyślę, ale nie dziś. Po weselu, za tydzień, czy za dwa, pogadamy z rozmysłem...

— Niech i tak będzie, panie zięciu—ja do zgody jedyny, a namawiam cię do spółki nie dlaczego innego, tylko dla tego, żebyś grosz na groszu zarobił, żebyś fortunę powiększył. Ty się na tem nie znasz, ale handel to dobra rzecz, a jeszcze taki handel! Ani w nim żydzi przeszkody nie czynią, ani bardzo wielkich pieniędzy nie trzeba i przytem zatrudnie-

nie przyjemne. Człowiek ciągle w drodze, w wesołości, z jarmarku na jarmark jeździ sobie; tu wstąpi, tam wstąpi, a wszędzie znajomych znajdzie, poczęstunek, kompanię. I do Warszawy towar się pędzi na targ, a tam od słowa się sprzeda. Znasz też, panie zięciu, Warszawę?

— Niebardzo, prawie jakby nic.

— To nic nie znasz, kochanie! Tam ci to bawarya przy bawaryi, bilard przy bilardzie, piwo jak śmietana, czego tylko dusza zapragnie, dostaniesz. Chcesz flaków—masz flaki, schabu z kapustą—masz schab, wódek najlepszych,—sto gatunków; a jak popatrzysz na sklepy, jak się zaczniesz gapić na to, co tam w oknach wystawione, to ci mało oczy nie wylezą, takie różności i dziwa! Ja byłem tam niedawno, widziałem menażeryę, różne dzikie zwierzęta, słonia, wielbłąda, małpy, węże, że i spamiętać trudno.

Tak sobie gawędzili we trzech przy śniadaniu, o Warszawie, o handlu, o ogromnych zyskach, a Kieliszek wciąż do swojego zawracał, przymawiając się o wspólnictwo i pieniądze, lecz Śpiewalski udawał, że nie rozumie i nie domyśla się niczego.

Panna Rózia wstała nareszcie, wywczasowana i świeża, wnet też przybiegły druchny i pomagały jej ubierać się, zaczęli się też i goście weselni gromadzić. Ci zbierali się

w drugiej połowie domu u Pikuły, mieszkanie zaś Kieliszka oddano tymczasowo kobietom, a głównie pannie młodej. Żydzina krawiec ciężką miał przeprawę z Kieliszkówną, ciągle grymasiła, musiał to i owo zmieniać kilka razy. Ze dwie godziny był w takich obrotach, nareszcie zniecierpliwiony uciekł, i panna, rada nie rada, musiała zaprzestać grymasów, tembardziej, że ojciec naglił o pośpiech.

Śpiewalski, ujrzawszy Rózię w białej sukni, w kwiatach, w welonie, który ją osłaniał, oczy ze zdumienia otworzył, tak mu się nadzwyczajnie piękną wydała. Chciał przywitać ją i za rękę ująć, ale Rózia cofnęła się szybko.

— Widzi pan, — rzekła, — że ja jestem w białych rękawiczkach!

Pan młody spojrzał na swe ręce, grube, narobione, i przyznał, że istotnie nie może dotykać takich delikatności...

Cała kompania udała się do kościoła. Gdy państwo młodzi szli do ołtarza, organista zagrał marsza, zapalone były wszystkie światła, niebawem wyszedł z zakrystyi ksiądz proboszcz, w białej, suto srebrem i złotem wyszywanej kapie i zaintonował „Veni Creator.“ Śpiewalski ukląkł obok Rózi. Ubrany był też wspaniale: miał na sobie palto tabaczkowe, workowatym krojem, po kolana;

na szyi szalik czerwony jak krew, a na ramionach wielką delię baranią, z ogromnym na plecy spadającym kołnierzem.

Obrządek nie trwał długo; ksiądz przysięgę od państwa młodych odebrał, ręce stułą im związał, pobłogosławił, krzyż do pocałowania dał, a wszystkich obecnych wezwał, aby na wypadek potrzeby świadczyli, jako to małżeństwo prawnie zawarte i od Kościoła Bożego potwierdzone zostało.

Rózia uśmiechnęła się, Śpiewalski zaś odetchnął głęboko, jak człowiek, któremu wielki ciężar spadł z ramion.

Tak, teraz niema już żadnej kwestyi, ani wątpliwości,—osiągnął swój cel. Rózia należy do niego i nie odbierze mu jej nikt; jest jego prawowitą żoną; w kościele, przed ołtarzem przysięgła mu posłuszeństwo i wierność. Myśląc o tem, Śpiewalski prostował się i głowę zadzierał, hardział stary, panem się czuł u siebie. Rózi grymasić nie da, z Kieliszkiem także z innej beczki zacznie. Przedtem córka i ojciec mogli fochy stroić, zabronieniem małżeństwa grozić—teraz już przepadło, żona pójdzie za mężem i posłuszną mu być musi—a ojciec jej, jak mu się podoba: zechce córkę odwiedzić, owszem, grzecznie będzie przyjęty, ale jeżeli pieniędzy zażąda, nic nie wskóra. Tak sobie Śpiewalski postanowił.

W izbach było gości, jak nabił, a najwięcej mieszczan, rzeźników, propinatorów. Kieliszek familiantów swoich ze wszech stron pospraszał, sąsiadów i znajomych, ze strony pana młodego zaś żywej duszy nie było.

Stołów zastawiono kilka, a jedna stancya, pusta prawie, przeznaczona była do tańca; trzech żydów muzykantów w sieni zasiadło, stroili oni instrumenta, młodzież przytupywała nogami, czując wielką ochotę do tańca.

— Do stołu państwo, do stołu! — wołał Kieliszek, mocno już na gębie czerwony, gdyż od samego rana miał ze szkłem do czynienia.—Siadajcie, gdzie kto może, spożywajcie, co Bóg dał, a pijcie za zdrowie i pomyślność państwa młodych. Panie zięciu i ty córuchno Róziu, oto wasze miejsce... Siadajcie przy sobie , jako dwa gołąbeczki.

Jakiś mieszczanin odezwał się z kąta:

— Pewnie że gołąbeczki, bo on siwy jak gołąb...

Śmiech się rozległ po stancyi, Śpiewalski wargi przygryzł i poczerwieniał, ręka go świerzbieć zaczęła. Rozumiał, że mieszczankowie przedrwiwają z niego, ale Kieliszek jakoś tę rzecz zagadał, a śmiechy groźnem spojrzeniem uciszył; poczem jednemu, drugiemu ze starszych coś do ucha szeptał, jakby prosząc...

Zasiedli do stołów. Państwo młodzi na

pierwszem miejscu obok siebie, przy nich co najprzedniejsi goście. Kieliszkowa z Pikuliną zabawiały kobiety, Kieliszek zaś ze szwagrem nie siadali; jedli stojąc, dorywczo, dając wciąż baczenie, czy komu czego nie brak, czy przed kim pusty kieliszek, lub pusta szklanka nie stoi.

W izbie robiło się coraz duszniej i gwarniej; pan młody czerwony szalik z szyi zrucił, miał ochotę zdjąć także palto i w kamizelce się weselić, ale go Rózia przestrzegła, żeby tego nie czynił, bo to nie polityczna rzecz i na ośmieszenie może narazić. Pozostał tedy, jak był, w grubem watowanem palcie; poty na niego uderzały, czerwienił się coraz mocniej i twarz chustką kraciastą ocierał.

— Ej zięciu, mało pijesz!—rzekł Kieliszek.

— Nie mogę, gorąco...

— A możeś chciał, żebyś marzł na własnem weselu? Pij zięciu, nie pytaj, trunek dobry. Sam usłużyć chcę.

Dolewał do szklanek, uwijał się po stancyi, o nikim nie zapomniał, nikogo nie pominął. Jedyny do zabawy człowiek.

Rózia mało co jadła i niewiele piła. Nudno jej było siedzieć przy mężu i starszych mieszczanach, z których żaden na strojną jej suknię uwagi nie zwracał, pragnęła, aby coprędzej rozpoczęły się tańce, aby

dziewczęta, widząc jej strój, zieleniały z zazdrości, aby młodzi kawalerowie dobijali się o nią. Rzucała niespokojne spojrzenia na sąsiednią stancyę, czekając, rychło-li rozpocznie się prawdziwa zabawa.

Nareszcie doczekała się.

Żydzi zaczęli grać polkę, goście wstawali od stołów. Śpiewalski, zatrzymany przez Kieliszka pozostał jeszcze, a młoda jego żonka kręciła się po drugiej izbie, w objęciach młodego wysmukłego chłopaka, o ognistych oczach i włosach czarnych jak noc... On przyciskał ją mocno do siebie i szeptał:

— Przepadło, wszystko przepadło.

— Cicho, cicho... Wicek, nie mów tak...

— Gdzież ja cię znajdę, żebym chociaż popatrzeć mógł czasem na ciebie.

— Poczekaj... puść, siądźmy... oddychać nie mogę...

— Jeszcze, chwilę, Róziu!—prosił—chwilę tylko, to całe moje szczęście.

Ona spojrzała na niego, uśmiechnęła się i rzekła:

— Głupiś ty Wicek... wiesz dobrze, że przychylną ci byłam, jestem i będę. Nie zostałam twoją, bo majątku niemasz, a mój ojciec bogatego zięcia szukał. Musiało tak się stać. Czy tobie się zdaje, że miło mi będzie żyć z tym starym dziadem, na wsi, na pustkowiu, w nudach?... Ale przecież on nie

wieczny. Może kiedy... Puść, siądę, duszno mi... albo pójdę do matki, do kuchni, tam odpocznę...

Wyrwała się z jego objęć i uciekła, on za nią poszedł. W kuchni nikogo nie było, wszyscy poszli przyglądać się tańcom, ogień na kominie dogasał, czerwone blaski rzucając na ściany. Rózia stanęła za uchylonemi drzwiami.

— Róziu, Róziu — szeptał chłopak...— Róziu...

— Odejdź i nie rozżalaj mnie próżno... Żałuję teraz, żem za niego wyszła, żałuję zapóźno... Lepiej było ciebie słuchać i uciec stąd, choćby na kraj świata...

— Róziu... toć jeszcze czas... Mam trochę pieniędzy, konia zaprzęgnę i wymkniemy się tak, że nikt nie zobaczy—aby do kolei i w świat, do Warszawy, jeszcze dalej, między ludzi,—kto nas znajdzie?

— Nie, nie można... skrzywdziłabym ojca... Czekajmy... ja zawsze życzliwa ci będę.

On objął ją i pocałował. Nie broniła się wcale...

— Słuchaj, rzekł, — na służbę do was pójdę, parobkiem będę, czem chcesz, byle przy tobie.

— Zobaczymy, pomówię ze starym, spróbuję, ale nie naglij, nie zaraz.

— Panna młoda! gdzie panna młoda?—wołano w stancyi.—Wicek wymknął się zręcznie na podwórko, Rózia została. Znaleziono ją zaraz; mąż z matką przyszli.

— Co to pani tak od nas ucieka?—zapytał Śpiewalski.

— Gorąco mi, odrzekła,—tu więc przyszłam, drzwi otwarte na dwór, chłodzę się.

— Niech się żoneczka bawi, bo około czwartej do domu pojedziemy,—rzekł z przymileniem.

— Co? Kiedy?

— Koło czwartej, a o szóstej, najdalej o siódmej będziemy na swoich śmieciach.

— Ja po nocy jechać nie myślę i domu rodzicielskiego tak nagle nie opuszczę. Nie chcę wychodzić od ojca, jak złodziejka, po nocy, ale w biały dzień, i to nie jutro, ani nie pojutrze...

— Dobrze Rózia mówi,—wtrąciła matka,—dziś nie pojedzie.

— Źle Rózia mówi,—odrzekł Śpiewalski, już trochę zagniewany,—źle, bo żona powinna iść za mężem i być mu posłuszną.

— Owszem, ja pójdę za mężem, ale po weselu, a u nas taki zwyczaj, że wesele trwa trzy dni.

— Trzy dni! Bójże się Boga, kobieto! Niechże pani matka wytłomaczy Rózi, że tak nie może być.

— Co mam tłomaczyć? Gdy ja za mego wyszłam, tośmy się przez cały tydzień weselili.

— Ale ja muszę w domu być, przez czas długi dla Rózi zaniedbywałem gospodarstwo...

— To niech sobie pan Śpiewalski jedzie, skoro mu tak pilno.

— Najprzód, nie żaden pan Śpiewalski, tylko mąż; Śpiewalski dla ludzi, a dla ciebie Michał; powtóre, że ja bez żony stąd nie odjadę. Dość już mnie to kosztuje mitręgi, pieniędzy i straty czasu. Teraz, skorom się ożenił, chcę mieć spokój i żonę dla siebie; chcę w domu siedzieć i żyć, jak Pan Bóg przykazał.

Na Rózię ognie wystąpiły, chciała ostrem słowem odpowiedzieć, ale matka przeczuwając kłótnię, wtrąciła.

— Panie zięciu, — proszę, — po dobremu proszę, nie nalegajcie. Cóż dwa dni znaczy, a choćby i trzy; da Bóg, że doczekacie w zdrowiu. Trzeba wyrozumieć; dziewczynie ciężko opuścić ojca i matkę, niechże się zabawi i rozweseli w swojej żałości, proszę was bardzo.

— Skoro matka tak mówi, niechże będzie podług jej woli—ty, Róziu, wracaj do stancyi i baw się.

Nie trzeba było jej tego dwa razy powtarzać, pobiegła żwawo i tańczyła zapamiętale z różnymi kawalerami, a najbardziej

z Wickiem, który nie odstępował jej prawie, a w tańcu ciągle do ucha coś szeptał.

Ów Wicek był czeladnikiem Kieliszka w jego professyi rzeźnickiej, od lat sześciu, a Rózia zawsze chętnem okiem na niego patrzyła, bo chłopak rzeczywiście był ładny i przypodobać się umiał. Ciągle prawie w domu, lub koło domu będąc, znajdował często sposobność powiedzieć dziewczynie co myśli, a gdy Śpiewalski zaczął dojeżdżać i zalecać się, chłopak o mało nie oszalał z żalu... odgrażał się nawet, że kiedykolwiek pchnie nożem starego zalotnika, ale Rózia łagodziła to jakoś... Tłomaczyła, że dla rodziców uczynić to musi, zapewniała, że gdy dziad oczy zamknie, będzie znowuż wolną. Grzecznem słówkiem, pieszczotą tyle zdołała wymódz, że chłopak godził się ze swym losem, żywiąc nadzieję, że kiedyś i dla niego nastaną chwile szczęścia. Najtrudniej było go teraz, podczas wesela, na wodzy utrzymać; Wicek podpił sobie, a gorąca, młoda krew burzyła się w nim jeszcze bardziej.

Wśród największej uciechy i wesołości zamyślał się ponuro, a czarne jego oczy błyszczały tak złowrogo, że Rózia bać się zaczynała. Od czegoż jednak spryt kobiecy? Coraz to rzuciła mu ciche słówko, uśmiech przychylny, chętnie puszczała się z nim w zawrotny taniec; wszelkiemi sposobami, tak

jednak, by nie zwracać uwagi obcych, dawała mu poznać, że jest jej miły.

Kobiety, pomimo ostrożności Rózi, dostrzegły jednak, co się święci.

— Widzi pani—mówiła jedna rzeźniczka do propinatorki z sąsiedztwa,—widzi pani?

— Widzę, panna młoda się bawi.

— I jeszcze ktoś przy niej...

— A tak, samej zabawa nudna. Głupi stary!

— Oj! że głupi, to głupi. Potrzebne mu było to małżeństwo, jak dziura w moście.

— Ha, jak kto sobie pościele, tak się i wyśpi.

— Nie do tego się mówi, moja pani kochana. Chłop bogaty i zdrów, niechby się ożenił, jako, że przecież nie jest grzeszna rzecz w małżeński stan wstępować; tylko, dlaczego sobie nie wybrał dziewczyny stateczniejszej, starszej, zębów nie szczerzącej, ot choćby, jak Hanusia moja, naprzykład.

— Wydałaby ją pani za niego?

— Albobym wydała, albo nie wydała; ale że jemu byłoby lepiej z Hanusią, niż z tą elegantką, to pewno... Oj, moja pani kochana, co to za świat teraz! jacy ludzie! Choćby i ten stateczny niby to i bogaty, i jak mówią porządny—czem sobie głowę zaprzątnął? Taką Różką! Ani ona majątku nie ma, ani gospodarna, ani nic. Nie lubię ja nikogo obmawiać,

wiadomo pani, że o każdym zawsze jak najlepiej się odzywam—ale tę dziewczynę znam, jak zły grosz, od małego. Do roboty wałkoń pierwszej próby, kijem nie napędzi; w urodzie swojej zaufana, tylko w lusterkoby patrzyła, choćby cały dzień, a na zabawę, na tańce... oj, moja pani kochana, opowiedzieć trudno. No, a przytem ten Wicek... Ja obmawiać nie lubię, ale oni się mają ku sobie nie od dzisiejszego dnia, nieraz na swoje oczy widziałam, jak szeptali po kątach.

— Moja pani, cóż nam do tego?.. Śpiewalski przecież nie młodzik, wie co robi...

— Zapewne, że nam do tego nic i mnie to ani ziębi, ani grzeje. Zna mnie pani, że nigdy w życiu do cudzych interesów się nie mieszam... nosa, gdzie nie trzeba, nie wścibiam i palca między drzwi nie kładę. Ożenił się to się ożenił; poszła za mąż to sobie poszła, niech ich tam... ale w tym razie nie mogę wytrzymać, muszę pani, jako najlepszej przyjaciółce, powiedzieć, że wszystko burzy się we mnie... że kipi, jak w garnku. Raz, szkoda mi jego, który, choć niemłody, ale bogaty i zdaje się dobry—mógłby jakiej dziewczynie statecznej, albo wdowie porządnej szczęście dać; po drugie, wściekłość mnie ogarnia, gdy widzę, że taka głupia Różka robi los; a po trzecie, moja pani, ten Wicek...

— Już teraz przepadło: ślub połączył, śmierć jedna rozłączy.

Kieliszek dosłyszał ostatnie wyrazy.

— Co panie bajdurzycie o śmierci, toć nie pogrzeb w domu moim, ale wesele.

— Niechże Bóg strzeże od pogrzebów każdego, kochany nasz gospodarzu! myśmy właśnie o ślubie mówiły, że państwo młodzi łączą się przy ołtarzu na całe życie.

— A no prawda... rozłączy, jak to mówią, rydel i motyka, ale o tem na weselu przykro wspominać. Na to wesele jest, żeby wesoło było... O, patrzcie no, moje panie, patrzcie: aha, jaki mój zięć, co? Nie spodziewałem się tego po nim.

Kumoszki ku drzwiom pobiegły. W drugiej stancyi Śpiewalski podochocony dokazywał; porwał swoją młodą żonę i w taniec się z nią puścił, aż drzazgi z podłogi leciały. Przytupywał, podskakiwał, jak młodzik; Rózia próbowała się wyrwać.

— Niechże mnie pan już puści—mówiła—suknia się pobrudzi.

— Głupstwo! dziesięć takich ci sprawię, jak zechcę. Jesteś moja i skoro chcę z tobą tańcować, to tak musi być.

— Idźże pan sobie już, bo pana odepchnę...

— Co? nie twoja siła, kochanie...

Objął ją silną ręką, niby niedźwiedź łapą, i ciągnął ją po stancyi, tańcząc. Rózia była strasznie rozgniewana, zacisnęła wargi, a oczy jej rzucały błyskawice. Wicek, który z inną dziewczyną tańczył, przysunął się zręcznie i Śpiewalskiemu nogę podstawił. Stary nie upadł wprawdzie, ale się potknął i ręcę rozkrzyżował, Rózia puszczona przez niego uciekła...

— Toż w tym kochanym Ogonowic — rzekł z gniewem Śpiewalski, — tańcują jak woły, jeden drugiemu po nogach...

— *Eh, chyba nie pójdziemy na* naukę do Przytuchy, — odrzekł jeden dobrze już podcięty mieszczanin.—Z naszego miasta proszę nie przedrwiwać, bo można dostać po karku.

— Moja pięść też twarda, a ktoby chciał próbę mieć, to może zaraz dostać. Ja w kaszę nie dam sobie dmuchać.

Rzekłszy to, nogi szeroko rozstawił, plecami o ścianę się oparł, i taki ruch ręką zrobił, jak gdyby wszystkich do boju wzywał. Na razie mieszczanie odskoczyli, ale wnet zaczęli szemrać.

— Co on sobie myśli?!

— Ubliża nam, miejskim obywatelom. Kto? On? A cóż on znaczy! Trzeba go rozumu nauczyć!..

— Tak, niech popamięta Ogonów... niech popamięta.

— Nie boję się—wrzeszczał Śpiewalski, rozczerwieniony, jak burak.—Siła was tam jest? Mendel? Kopa? Porachujcie się!

Widząc, na co się zanosi, kobiety w krzyk uderzyły; mieszczanie tymczasem zaczęli się do pana młodego przysuwać, pomrukując groźnie. Byłoby się mogło źle skończyć, ale Kieliszek rzucił się w zbitą gromadę, w sam środek.

— Panowie!—wołał,—sąsiedzi, do licha! nie czyńcie mi tego w moim domu! pogodzić się! Wszyscy macie trochę w czubach i ja też mam. Na to wesele. Ucałujcie się, jak bracia, on przecie nasz. Skoro zięciem moim został, jest nasz... Prawda, co? Piliście już gorzałkę i piwo i miód, teraz na zgodę wina wypijemy. Zięciu! podaj rękę moim gościom, uspokój się, wstydu mi nie czyń... Wy zaś, panowie, sąsiedzi, wybaczcie. Wino dobre, spróbować warto. Hej, szwagierku, szklanek, a wy żydy grajcie! Wesele jest, zgoda niech będzie. Drugiej córki nie mam, drugiego takiego przyjęcia nie wyprawię. Zięciu, ty z serca swego złość wyrzuć precz! Guza nie szukaj, boś człowiek stateczny, a i to sobie uważaj, że zwada na weselu niedobry znak...

— Prawdę mówicie... Niech będzie zgoda, ale też i panów mieszczan poproście, żeby mnie w zły sposób nie zaczepiali.

Jakoś uspokoiło się trochę; Kieliszek z zięciem, Pikuła i co starsi mieszczanie zasiedli przy stole, aby kwaśnem wińskiem zgodę oblać, młodzi zaś tańczyli prawie do białego dnia, a najbardziej panna młoda. Skończyło się nareszcie to wesele, goście porozchodzili się na niepewnych nogach, z domowych zaś każdy gdzie mógł i na czem mógł, położył się, aby usnąć...

Koło południa Śpiewalski obudził się z wielkim bólem głowy; nieprzyzwyczajony do trunków, był tak odurzony, że na razie nie mógł zmiarkować, gdzie jest i co się z nim dzieje; dopiero w parę chwil, przetarłszy oczy, umywszy się, wszystko sobie przypomniał i okrutnie się zawstydził przed sobą... On, gospodarz porządny, nie młodzik, upił się, skakał, breweryc z mieszczanami wyrabiał... Wstyd! Prawda, że to na swojem własnem weselu, ale zawszeć niepięknie, o! niepięknie. Zdjęło go takie obrzydzenie do trunków, że gdyby mógł, toby porozbijał wszystkie beczki i flaszki, jakie są na świecie... Spojrzał w lusterko na ścianie wiszące i własnego obrazu się przeląkł... Twarz zmięta, oczy w podkowach, czerwone, jak u królika, włosy w nieładzie. Raz jeszcze umył się i dla odetchnienia świeższem powietrzem na ulicę wyszedł. Akurat na Anioł Pański dzwoniono, Śpiewalski westchnął i powlókł się ku kościołowi.

Drzwi główne zastał otwarte, gdyż dziad porządki czynił i zamiatał, ale prócz tego dziada, żywego ducha w kościele nie było.

— Dziadku!—szepnął Śpiewalski do kościelnego.

— A co?

— Nie zamykacie jeszcze?

— Nie zamknę, dopóki nie skończę sprzątać. Na cóż wam to wiedzieć?

— Ot, chciałbym pacierz zmówić przed ołtarzem.

— Broni wam kto? Owszem, owszem, módlcie się i niech was Bóg miłosierny wysłucha.

Dziad przy drzwiach zamiatał, Śpiewalski przed wielki ołtarz poszedł, padł na kolana przy baryerze, bił się w piersi z wielką pokorą, korzył się przed majestatem Bożym, błagając o grzechów odpuszczenie, a błogosławieństwo i łaskę dla siebie i dla tej, którą za towarzyszkę życia pojął... Długo, długo klęczał zatopiony w modlitwie gorącej i snać wysłuchane były jego westchnienia, gdyż wstał uspokojony i silniejszy na duchu.

Gdy wrócił, zaraz w progu Kieliszek przywitał go z flaszką w ręku.

— Na dzień dobry, kochany zięciu! — wołał...

— Bóg zapłać, pić nie będę,—odrzekł Śpiewalski,—dość mi wczorajszego.

— Aha, rozumiem, głowa boli. To właśnie, klin klinem się wybije, panie zięciu. Ja sam ocknąłem się taki zbity, jak gdyby mnie kijami potłuczono: głowa ciąży, jak ćwierć pszenicy, oczy bolą.

— A widzicie...

— Nie pierwszy raz mi się to zdarza, praktykowany jestem. Golnąłem z miejsca jeden kielich, zbicie zaraz ustąpiło; po drugim głowa zelżała, a po trzecim tak mam jasno w ślepiach, że mógłbym mak przebierać. Radzę ci uczynić tak samo, a będziesz zdrów.

— Dziękuję, nie będę. Gorącego barszczu, albo herbaty, jeżeli macie w domu, tobym się napił...

— No, no... nie spodziewałem się po was: chłop tęgi, a lada co mu szkodzi. Gdzieżeś to chodził, panie zięciu? Szukałem cię po całym domu, a i Rózia zapytywała, gdzie się zapodziałeś.

— Nie śpi już Rózia,—rzekł Śpiewalski,—to dobrze, chciałbym się z nią zobaczyć.

— Poczekaj trochę, wstała ona już dawno, ale zaraz pobiegła do swoich przyjaciółek, do druchen, aby się z niemi pożegnać, przed odjazdem na swoje gospodarstwo.

— A niech je pożegna, cóż mi to szkodzi.

Rózia rzeczywiście była u znajomej, niby z pożegnaniem, ale tam, niby przypadkowo, znalazł się Wicek. Nie było w domu nikogo, prócz nich trojga, a i ta dziewczyna, widocznie przyjaciółka dobra, zaraz wybiegła z izby, niby po wodę, po drzewo, tak że pani Śpiewalska z Wickiem mogła rozmawiać swobodnie i w cztery oczy. Szeptali też długo, naradzali się ze sobą, on jej coś tłomaczył i przedstawiał, ona słuchała zapatrzona w niego, jak w obraz... Wróciła do domu, trochę zarumieniona, trochę zapłakana, a Śpiewalskiemu wydała się jeszcze piękniejsza, niż dawniej.

Za rękę ją pochwycił i ucałował; nie broniła się, owszem, przyjmowała te pieszczoty z uśmiechem, jak gdyby chcąc pokazać, że będzie dla męża życzliwa i uległa.

— Trzeba myśleć o odjeździe, Róziu,— rzekł Śpiewalski.

— Jak mąż sobie życzy, tak się stanie,— odpowiedziała pokornie,—ja gotowa jestem, mały tłomoczek wezmę ze sobą, a resztę rzeczy ojciec mi odeśle wozem... Prawda, ojcze?

— Sam odwiozę.

— Dziękuję, ale na co ma się ojciec trudzić? albo ten darmozjad Wicek ma co lepszego do roboty!

— Nie lubisz go, widzę...

— Ani lubię, ani nie lubię... cóż mnie taki obchodzi... gęsi z nim nie pasłam.

— Ma swój ambit Rózia, o, ma!—wtrącił Kieliszek—i zaraz dodał:—skoro taka wasza wola, że chcecie nas dziś opuścić, to jedźcie, ale dopiero po obiedzie. Tyle jeszcze jadła z wesela pozostało, że nam wystarczy. Biegnij no Róziu do matki, z krzątnijcie się, nie puszczę was głodnych z mego domu.

Rózia wyszła, Kieliszek zaś, który naumyślnie tak kierował, żeby w cztery oczy z zięciem mógł zostać, przysiadł się do niego i zniżywszy głos, tak zaczął:

— Wspominałem wam, panie zięciu, o tym handlu...

— A no... niby...

— Zapomnieliście już?

— Nie, tylko że co innego miałem na głowie.

— Trzeba wam wiedzieć, że teraz w Prusach ogromnie wieprze podrożały, a u nas tanie są. Kupiwszy, można odrazu wielkie pieniądze zarobić.

— To aż do Prus chcecie jechać?

— Na co? Partyę zgromadzić, na kolej i do Warszawy; tam od ręki się sprzeda dla zagranicznych kupców. Wziąwszy pieniądze, znów dalej po jarmarkach, znów kupno, partya na wagony i do Warszawy, znów świeży grosz—i znów na jarmarki. Śliczna

rzecz, majątek można zbić znaczny. Pikuła do naszej spółki przystanie i tak ci nam ruble będą się sypały w garście, jak otręby we młynie. Ja, bo widzicie kochany zięciu, chciałbym się grubo dorobić; w Warszawie-bym osiadł na stare lata, serdelki i salcesony sprzedawał, a dobre piwko popijał—a i tobie, kochany zięciu, godziłoby się już nie o kolonii, ale o folwarczku pomyśleć. To wszystko handel może nam dać, byle mieć trochę groszowiny na początek. Ja przyznam się, że teraz nie jestem przy pieniądzach, wyczerpałem się, ale Pikuła chłop ciepły i tobie, panie zięciu, też nie brak. Za to ja dam do współki moją głowę i znawstwo, bo już nie chwaląc się, abym tylko spojrzał na wieprza, to zaraz powiem, ile waży i co z niego może być. Cóż, zięciu, nic nie mówisz?

Śpiewalski siedział z pochyloną głową i milczał.

— Ha,—rzekł po namyśle,—cóż ja mam powiedzieć? Wyście znawca—ja nie; wyście handlarz—ja tylko gospodarz.

— Ale pieniądze lubicie?

— Lubić lubię, ale wolałbym zboże sprzedawać, niżeli co innego, zresztą mówiłem wam już wprzódy, że teraz radbym w domu posiedzieć i odpocząć.

— Nikt was nie ciągnie z domu—dajcie

tylko pieniędzy, a my ze szwagrem zrobimy ruch.

— Łatwo powiedzieć, dajcie, a jeżeli ja nie mam.

— Ha! ha... wy nie macie! To coś nowego.

— Teraz nie mam i o żadnych interesach mówić nie chcę. Dajcie mi odpoczynek, bardzo was proszę, później, ku wiośnie, pogadamy.

Kieliszek nie nalegał, ale skwaśniał odrazu, jak ocet, nawet na obiad nie bardzo zapraszał i do picia nie zachęcał. Zły był, że nie po myśli mu poszło. Pożegnał zięcia i córkę dość obojętnie, bąknął pod nosem parę słów, co niby znaczyć miało, że życzy szczęśliwej drogi—i tak się chłodno rozstali. Matka tylko popłakiwała trochę, a Rózia z wysokiej bryczki ciekawie spoglądała na drogę do swojej nowej siedziby.

Już noc była, gdy państwo młodzi do Przytuchy wjechali.

. . . .

We wsi spali wszyscy, ani w jednem okienku światła widać nie było; pies jeden, drugi szczeknął, ale widząc, że swoi, ogon podkulił i uciekał na swe legowisko, gdyż zimno było wielkie i wiatr przejmujący. Śpiewalski rozmyślał o swojem szczęściu, Rózia drzemała. Zajechali przed dom.

Śpiewalski zastukał, ale nie bardzo śmiało; nie tak, jak do swojej siedziby szedł.

Wnet błysnęło światło, Katarzyna, zarzuciwszy chustkę na ramiona, ukazała się we drzwiach: postawiła lampkę na stole i wyszła.

— Róziu, chodź, — rzekł Śpiewalski — przestąp próg swego domu i daj nam Boże szczęśliwie. Kasiu! Kasiu, chodźno tu prędzej.

Córka, posłuszna wezwaniu ojca, weszła do pierwszej izby, gdzie Śpiewalski zapalił zaraz dużą lampę. Zrobiło się jasno, jak w dzień, i kobiety spojrzały jedna na drugą. Było to spojrzenie przelotne, prędkie, ale dużo mówiące; obie strony zrozumiały, że od tej chwili zacznie się pomiędzy niemi wojna zawzięta, że jedna drugiej, dopóki pod dachem tej chałupy będą, ani na jeden włos nie ustąpi.

— Kasiu, — rzekł Śpiewalski — przywitaj matkę.

— Ojciec wiedzą, — odparła — że matka moja na cmentarzu spoczywa.

— Niech mąż mi nie narzuca takiej córeczki, — ozwała się złośliwie Rózia — nie potrafiłabym jej matkować. Uf! jakie tu niedobre powietrze, kapustę czuć.

— Zwąchała koza kapustę, — burknęła Katarzyna i wyszła; Śpiewalski nie dosłyszał tych słów, Rózia udała, że nie słyszy.

— Zdejmij z siebie szubę — prosił Śpiewalski — rozgość się, w domu jesteś. Zapewne

jesteś głodna, zdrożona, posilić się chcesz... Zaraz powiem Kasi, niech się zakrzątnie, samowar nastawi, rozgrzejesz się...

— Nie potrzeba fatygować panny Katarzyny.

— Moja córka wdową jest.

— No, więc nie trzeba fatygować pani Katarzyny... Cięta kobieta i nie bardzo mi chętna, jak uważam...

— Gdy się bliżej poznacie, to się przekona. Na wsi to chowane, więc trochę dzikie, aleć się oswoi. Niechże Rózia będzie, jak u siebie, przecie nie w gościnie jesteś, tylko w domu mężowskim, a wiadomo, że co mężowskie to i żonine; przynajmniej, według mego pomiarkowania, tak być powinno...

Rózia powoli, ziewając, zdjęła z siebie szubę i rzuciła ją na krzesło, Śpiewalski tymczasem poszedł do córki i dość długo do niej przemawiał:

— Toć wstydu mi nie rób,—rzekł w końcu.

— Jaki wstyd,—odparła,—co ojciec każe, to będzie; samowar nastawię, stół nakryję, jedzenie podam.

— I siądziesz z nami...

— Po co? Na kolacyę, jak dla mnie, już zapóźno, na śniadanie jeszcze zawczasu... Nie głodna jestem a spać mi się chce.

— Słuchaj, kobieto, tak być nie może,

córka jesteś i ojcu posłuszeństwo winnaś. Ja każę, żebyś z nami usiadła...

— Jeżeli koniecznie wam tego trzeba, to posłucham, ale jeszcze parę słów chciałam rzec.

— A cóż?..

— Dwie gospodynie w jednym domu niepotrzebne, jedna wystarczy; dla tego upraszam, niech mi ojciec jutro konie dadzą, odjadę do siostry.

— Jutro, o tem jutro... Zobaczymy, tymczasem choć pierwszych chwil mi nie zatruwaj!.. Oj, dzieci! Niewolnik ja wasz, czy co?

— Owszem... przecież zrobiliście podług własnego upodobania i życzenia.

— Zrobiłem, ma się rozumieć—i dobrze zrobiłem.

Rózia rozglądała się ciekawie po stancyi, ale snać nic bardzo jej do upodobania przypadła, wzruszyła bowiem pogardliwie ramionami.

— Zaraz wszystko będzie, kochana Róziu,—rzekł wchodząc do stancyi Śpiewalski,—a od jutra sama zarządzisz podług swojej woli... To ci jeszcze raz powtarzam, że panią tu jesteś.

— Spodziewam się—odrzekła—nie po to wyszłam za mąż, żeby być sługą... Panią jestem i wszyscy muszą mnie słuchać... Zresztą już ja sobie poradzę.

— Jakże ci się tu podoba? Stancya piękna, prawda?

— Niekoniecznie.

— Ja pieniędzy nie szczędziłem, chciałaś, żeby było po pańsku, masz po pańsku, jak w jakim dworze...

— Nie widzę tu nic pańskiego — ot tak sobie; chcąc żeby stancya jako tako wyglądała, trzeba będzie nie jedno dokupić. Rozpatrzę ja to po dniu, zobaczymy. Z domu mi także trochę rzeczy nadeślą, to się jedno z drugiem połata, a co będzie brakowało, mąż da pieniędzy...

— Kobieto! cóż tu jeszcze może brakować? Ja myślałem, że ty mnie w rękę pocałujesz, gdy zobaczysz takie wspaniałości.

— Oho! Trzeba mi się dobrze zasłużyć, żebym w rękę pocałowała... Ja z niepokornego rodu pochodzę, harda jestem; mógł mnie już mąż trochę poznać... Czego to się żąda, w rękę całować!

— Nie zgrzeszyłabyś... jam przecież tobie i mąż i opiekun, najlepszy przyjaciel.

— Z początku każdy dobry...

— Ja zawsze jednaki; za stary jestem na odmiany.

— Zobaczymy to, panie mężu, zobaczymy... Zasługiwać się trzeba, nie być skąpym, nie żałować—to będzie dobrze...

— Czegóż ja ci żałuję, moja Róziu...

— Nie prosiłam jeszcze o nic...

Katarzyna weszła do stancyi i, nie mówiąc ani słowa, nakryła stół, podała szklanki, jedzenie, poczem wszyscy usiedli. Śpiewalski mało co jadł, Rózia, zmęczona drogą, nie żałowała sobie. Katarzyna nie tknęła niczego. Siedziała w milczeniu; młoda macocha wpatrywała się w nią uparcie, obmyślając w duchu, jakby jej dokuczyć.

— Czy zawsze taka nierozmowna? — spytała.

— Kto?

— A... pani...

— Ja nie pani... gospodarska córka jestem i wdowa po gospodarzu...

— I moja pasierbica.

— Zapewne...

— Tak pani mówi, jak gdyby panią zęby bolały.

— Co komu do tego, co mnie boli? — odrzekła niechętnie; — ojcze — dodała — czy wam jestem na co potrzebna?

— Albo co?

— Już bardzo późno, a jutro raniutko wstać trzeba; zrobiłam, coście kazali — teraz poszłabym spać...

— Owszem, owszem; nikt nie zatrzymuje — rzekła Rózia — mnie się też spać chce, zmęczona jestem po tej psiej drodze i muszę

wypocząć... Idźcie sobie państwo oboje, chcę zostać sama.

— Róziu...—rzekł Śpiewalski.

— Wyraźnie mówię, żem zmęczona... przecież dopiero co mąż powiedział, że panią tu jestem, więc niechże mąż wie, że pani chce spać. Dobranoc...

To rzekłszy, wzięła mniejszą lampę ze stołu, weszła do sąsiedniej stancyi i drzwi za sobą na klucz zamknęła. Śpiewalski wsparł głowę na rękach i przez chwilę siedział zadumany przy stole... Katarzyna przyniosła swoją poduszkę, położyła ją na wyplatanej kanapie i rzekła:

— Niech się ojciec prześpią... dobranoc...

Niezadługo dzień nastał; Katarzyna, przy pomocy dziewki, krzątała się przy zwykłem gospodarskiem zatrudnieniu, Śpiewalski też wstał, przeżegnał się i wszedł do drugiej połowy domostwa, gdzie była kuchnia i komora.

— Chwalić Boga, że ojciec przyszli,— rzekła Katarzyna—że będą już teraz w domu...

— A no, pewnie że będę.

— To też właśnie klucze wam oddam od komory i od stodółki; całego dobra waszego pilnowałam, jak swego własnego, jak oka w głowie; nic zginęło nic, nie zmarnowało się ani jedno ziarnko.

— To niby przymówka według nagrody?..

— Nie żądam, nie chcę nagrody. Nie byłam u was jako sługa, ale jako córka. Macie klucze...

— Rózi oddasz, gdy wstanie.

— Temu oddaję, od kogo wzięłam... i proszę ojca o furmankę, rzeczy moje spakowane.

— Do czego to podobne!—zawołał Śpiewalski—zapowietrzony ja jestem, czy co, że uciekasz odemnie? Krzywdę masz, czy marne słowo kiedy usłyszałaś?.. Nie dam furmanki, siedź w chałupie.

— Gospodarzy we wsi nie brak, poproszę którego...

— A ja mówię, zostań!.. Ojciec każe! Jesteś młoda wdowa, z ojcowskiego domu za mąż wyjdziesz, po cudzych kątach wycierać się nie pozwolę... Zastanów że się kobieto... takaś to córka, że mi wstyd chcesz czynić?

— Czem wstyd? Nie uczyniłam ja nic takiego, żebym się miała za to rumienić.

— Ale mnie, staremu ojcu!—Ej, Kasiu, dodał, zniżając głos i prawie prosząc—uważaj że ty trochę i na mnie. Chcesz koniecznie odejść—dobrze, ale nie tak nagle, nie zaraz. Toć powiedzieliby, że cię Rózia pierwszego dnia z domu wypędziła—a i tak dość już sobie mojem przezwiskiem zębów nawycierali.

— Oj, że wycierali, to wycierali,—odrzekła z westchnieniem,—aż uszy bolały słuchać...

— Teraz przestaną...

— Skądże by?

— Ja jestem na miejscu i będę siedział w domu, a że zaś Rózia została moją żoną, mam prawo za nią się ująć... I niech no tylko co usłyszę, dam jednemu i drugiemu po łbie kijem, to wnet języki przestaną ich świerzbić. Ciebie proszę, przykrości mi nie czyń i chociaż dla oka ludzkiego, pozostań jaki czas.

Katarzyna miała dobre serce i żal się jej zrobiło ojca; namyśliła się przez krótki czas i rzekła.

— Dobrze; skoro taka wasza wola, pozostanę... ale do gospodarstwa wtrącać się nie będę; niech sobie ojcowa żona rządzi, jak chce; ja się przędziwem zajmę, szyciem, będę miała czem ręce zaprzątnąć...

— Niechże i tak będzie, dziękuję, żeś mnie posłuchała...

We wsi o niczem innem nie mówiono, tylko o Śpiewalskim i o jego młodej żonie; osobliwie kobiety miejsca sobie znaleźć nie mogły, ciekawość je paliła, aby Rózię zobaczyć. Biegały od chałupy do chałupy, jedna do drugiej na wywiady, jak w kobiecym obyczaju bywa.

— Moi drodzy, moi kochani,—mówiła kuma kumie, wpadłszy do izby, jak po ogień,

zapomniawszy nawet powiedzieć „pochwalony,“—moi drodzy—a cóż? Przyjechali pono dziś w nocy...

— A przyjechali, przyjechali; na własne uszy słyszałam, jak nasz Burek ujadał i zaraz pomyślałam sobie, że on coś niedobrego węszy.

— Oj tak, tak, kumciu kochająca; inszy pies, choć pies, a ma czasem takie czucie jak nie pies. Już ja różne zdarzenia widziałam. Moja kumciu złocista, i jakże ona wielka pani wygląda?.

— Chciałam i ja to wiedzieć i właśnie, skoro tylko ranek, poleciałyśmy z Michałową do studni, co na Śpiewalskiego gruncie... bo gdzież gospodynię spotkać, jak nie przy studni?

— Pewnie...

— Złapałyśmy konewki do garści, niby dla pokazania, że to według wody; poszłyśmy... czekamy... przecież bez wody nie będzie, musi przyjść...

— Aha, taka by ci poszła po wodę!? Pewnie ze dwie dziewki trzymać będzie do posługi.

— Przyszłyśmy, stoimy, czekamy, blizko godzinę, niema nikogo, aż nam się sprzykrzyło; nareszcie Katarzyna idzie, wzięłyśmy ją zaraz na spytki: a co? a jak? a kiedy? a ładna mamunia? a dobra? precz pytamy,

a ona nic, jeno się za gębę trzyma i pokazuje, że ją okrutnie zęby bolą.

— Akurat, zęby ją bolą, jak i mojego Łyska! Tak sobie jeno umyśliła na poczekaniu, żeby nic nie powiedzieć.

— Cały ich ród taki skryty—i teraz, zęby ją bolą! Wie, a powiedzieć nie chce, rychtyk jak ów pies, co na sianie leży, sam nie zje i bydlęciu nie da.

— Ja tam do studni nie chodziłam, tylkośmy z Onufrową poleciały do Śpiewalskiego domostwa, niby, że najprędzej w oknie coś się pokaże.

— I widziałyście? Moja kumo, gadajcież, bo nie wytrzymam, stoję jak na gorących węglach.

— A toć widziałyśmy.

— Ją?!

— Akurat! Taka by się w oknie pokazała!.. Ona się boi dnia, jak sowa.

— Jak sowa?!

— A widać że tak, skoro szmatami okno pozawieszała.

— To i pierwej u Śpiewalskiego już było, niby że po pańsku; firanka się taka szmata nazywa.

— Osobliwie firanka, a insza szmata osobliwie—toć ja rozumiem. Firanka jest biała i tak wisi, jakby chłopskie odzienie, zaś tamten gałgan zielony, a tak wisi, jakby bobie-

ca chusteczka. Nie co innego, tylko ta rzeźnicka hrabianka jasności się boi, jak nietoperz.

— To prawda święta, kumo kochająca; że też Śpiewalski, gdzieindziej żony sobie nie poszukał, uczciwym sposobem na wsi, jak się u gospodarzy praktykuje.

— Inszy chłop ma z jarmarku czapkę, albo buty, lub, na ten przykład, jakie bydlę, Śpiewalski zaś ma żonę.

— Żona z jarmarku! niech że ją marności!

— Czegóż ją przeklinacie, kumo?

— Ano, bo jeszczem jej nie widziała, a już przykrość od niej mam i zmartwienie.

— Od niej?

— No, tak...

— Nie zmiarkuję, jakim to sposobem może być; chyba dowiedzieliście się, że obgadała was przed ludźmi, albo co? To na nią podobne. Taka, roboty nie mając, ma czas na statecznych kobietach psy wieszać...

— Ale nie, nie... moje zmartwienie insze jest. Oto widzicie moja kumciu, chleb dzisiaj mam piec i to koniecznie, bośmy wczoraj wieczór ostatni bochenek napoczęli i ledwie że do obiadu wystarczy. Piec muszę, a chyba nie upiekę, mój będzie zły, a on gdy w złości, to nie pyta nic, jeno bije... Spierze

mnie chłop na kwaśne jabłko, przez tę Śpiewalską.

— Eh, upieczecie chleb i będzie spokój.

— Chciałabym, kumciu złocista, ale nie mogę, nie wytrzymam, będę dotąd wartowała, póki tej żony z jarmarku nie wypatrzę. Sami powiedzcie, czy w takim niepokoju, w takiej ciekawości jak dziś mamy, można spokojnie do dzieży się zabrać...

— Oj to prawda, kumciu kochająca, prawda. Ja znów muszę dziś wedle opierunku; obleczenie dla mojego przysposobić na niedzielę, ale też chyba nie zdążę... i będę miała przemówienie.

— Biedne my kobiety.

— Oj biedne, biedne! Zrób koło chłopa cały obrządek, dogadzaj mu we wszystkiem, jak wrzodowi, to ci nawet łbem za to nie kiwnie, ale niechno nie ma czego na czas, zaraz piekło robi. Jak chce się kobieta czego dowiedzieć, albo jak się jedna z drugą zejdzie, żeby się niby na swoją krzywdę użalić, to zaraz chłop urąga, że to niby babska ciekawość, że się plotki po wsi roznosi... Taki to nasz los marny, moja kumciu, taka dola nieszczęśliwa!

Nie poszykowało się kumciom tego dnia nic a nic. Jedna chleba nie upiekła, druga obleczenia nie uprała, obie miały co słuchać od mężów i, co najgorzej je martwiło, to

właśnie, że tego dnia Śpiewalskiej nie zobaczyły, gdyż spała do późnego wieczora i zielonych szmat z okien nie zdjęła.

Okrutnie z tego powodu rajcowały wszystkie kobiety z Przytuchy: i staruszki i gospodynie letnie i młode gosposie, i dziewuchy, a nawet małe dziewczynki, takie co po sześć, siedem lat mają, też stawały przy gromadkach, a choć im głosu nie dawano, słuchały jak stare, trzymając łokieć prawej ręki lewą garścią, a opierając bródkę na dłoni prawej ręki... i tak się maleństwa przy tem kiwały, jako ich matki, jakby też chcąc wzdychać i mówić:

— Co za świat dzisiejszy, jakie obyczaje?

Oczywiście, po kilku dniach ciekawość kobiet została zaspokojona. Chałupa Śpiewalskiego nie mogła być ciągle zamknięta, jak forteca; młoda gospodyni musiała się ludziom pokazać.

Stało się to w niedzielę. Śpiewalski wybrał się z żoną do kościoła. Sam ubrany paradnie, z waszecia, a ona wyfiokowana, w modnej szubie, w kapeluszu z piórem.

W Przytusze jeszcze stary obyczaj panował; gospodarze nosili się porządnie, w sukmanach, to też Śpiewalscy dość dziwacznie w otoczeniu takich ludzi wyglądali.

Rózia, co prawda, nie miała wielkiej chęci iść do wiejskiego kościołka i prosiła

męża, żeby koni dał i żeby do miasta na sumę pojechać, a przy tej okazyi rodziców odwiedzić, ale Śpiewalski nie chciał.

Rzekł jej, że w każdym kościele można Pana Boga chwalić i modlić się, i że nawet nie wypada osiadłemu człowiekowi do inszej parafii na nabożeństwo jeździć, skoro swój kościołek tak blizko.

Zmilczała, bo i nie było co na to odpowiedzieć; wzięła ze sobą książkę z suto złoconemi brzegami i poszła.

Co prawda, nie bardzo gorąco modlili się ludzie tej niedzieli w wiejskim kościołku; ciekawość ich wielka ogarnęła i zamiast na ołtarz patrzeć, zerkali precz na „żonę z jarmarku,“ bo się ta nazwa odrazu do niej przylepiła. Patrzyli starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, a najbardziej kobiety. Zajmował je szczególniej kapelusz Rózi z piórem, boć jeszcze, jak Przytucha Przytuchą, żadna gospodyni takiego cudacznego czupiradła na głowie nie miała.

Nie bardzo było słodko młodej pani Śpiewalskiej czuć, że tyle oczu na nią patrzy, znosiła to jednak, tem się pocieszając, że wszystkie zazdroszczą jej urody.

I prawda; ładna była bo ładna; nawet Śpiewalskiego córka, Katarzyna, która słynęła z urody i rzeczywiście była przystojną, przy Rózi jednak gasnęła, może dla tego, że

nie dbała o strój i upiększenie swej osoby, a do kościoła szła nie po to, aby się gałganami popisywać, lecz żeby się pomodlić szczerze.

Śpiewalski z Rózią dopchał się przez cały kościół aż do wielkiego ołtarza, Katarzyna zaś wszedłszy, uklękła zaraz przy drzwiach w kąciku i tam do końca nabożeństwa pozostała.

Po sumie, ludzie przed kościołem gromadkami stali, przypatrując się jedni drugim, a już najbardziej Śpiewalskim; prawie cała parafia widziała ich tego dnia. Niektórzy gospodarze chcieli świeżo ożenionego sąsiada do gawędy wciągnąć, żeby i jego żoneczkę bliżej poznać, ale Śpiewalski nie zatrzymywał się, tylko śpieszył do domu. Na pozdrowienie kiwnięciem głowy, albo krótkiem słowem odpowiadał, dając tem poznać, że do pogawędki nie ma chęci.

Przed domem jego stała bryczka, a raczej wasąg pana Kieliszka; przyjechał on, wraz ze szwagrem swoim Pikułą, aby córkę i zięcia odwiedzić, a przywiózł ich ów właśnie Wicek, czeladnik, który sam się wprosił, żeby go za furmana wzięli.

Ujrzawszy ojca i wujaszka, Rózia ucieszyła się niezmiernie, a obaczywszy Wicka, pokraśniała na twarzy, jak mak czerwony, lub piwonia. O mało nie krzyknęła z ucie-

chy, lecz widząc, że Katarzyna jest i patrzy, przywitała go dość chłodno.

Wnet młoda gospodyni zakrzątnęła się po izbie, wpadła do komory, zajrzała do szafy i co najlepsze jadło, jakie było, znalazło się na stole...

Śpiewalski z wielkiem ukontentowaniem spoglądał na swoją żoneczkę, że taka ruchliwa i gościnna, a ojciec i wujaszek uśmiechali się na widok dobrego jedzenia, a bardziej jeszcze na widok pełnych flaszek, bo i jeden i drugi miał do szkła pociąg okrutny. Nie lubili wylewać za kołnierz.

— No, cóż zięciu, pytał Kieliszek, jakże? Dobrze ci?

— A dobrze, odrzekł Śpiewalski.

— Rózi w czepeczku ślicznie, zauważył Pikuła...

— Ładnemu we wszystkiem ładnie.

— Juści prawda, kochany zięciu, żoneczkę masz, jak malowanie. Powinieneś ją w złote ramki oprawić.

— Wolę, niech się uwija po stancyi, zawszeć to milej...

— Róziu, zawołał Pikuła, szczęśliwaś tu, co?

Nie odpowiedziawszy, wybiegła ze stancyi i Śpiewalski nie usłyszał tego, co bardzo pragnął usłyszeć,—a dużo by dał za zapew-

nienie, że żona czuje się szczęśliwą i że jej dobrze z nim...

— Teraz zięciu kochany, rzekł Kieliszek, gdy podjedli, niema co w bibułę owijać, tylko do interesu. Znasz mnie, że ja z tych ludzi jestem, co polityki nie lubią; prosto z mostu i już.

— A ja tak samo, dorzucił Pikuła.

— Słucham was tedy, panie ojcze, i was panie wujaszku, jaką macie potrzebę, powiedzcie...

— Alboż nie wiadomo ci? Pamięć straciłeś, czy co? Jakeś Rózi pragnął, toś złote góry obiecywał, a teraz, gdy masz Rózię, to ci się całkiem w pomyśleniu odmienia.

— Nie wiem ja, moi kochani, co chcecie. Złotych gór nie obiecywałem, kontraktów z wami nie robiłem. Posagu nie daliście ani grosza, co zaś ojciec Rózi ze mnie pieniędzy wyciągnął, to dobrze pamiętam. Co się dało to dało, mniejsza o to, nie wymawiam, a na to, com pożyczył, pisanie mam. Myślałem nie upominać się do czasu, ale jeżeli ojciec z inszej beczki zaczyna, to ja też z inakszej potrafię.

— Słyszysz szwagrze! zawołał Kieliszek, słyszysz?

Pikuła odrzekł spokojnie.

— Słyszę. Dawno ci mówiłem, że kręciciel to jest pierwszej próby i że go z miejsca trzeba było opisać, jak węża. Nie słuchałeś,

a teraz będziemy musieli po sądach się włóczyć, bo trudno przecież swojej krzywdy darować...

— Co wy mówicie,—zawołał Śpiewalski—Ludzie! kto jest kręciciel? o kim wy gadacie, jakie sądy?..

— Ha! toś nie obiecywał, że sześćset rubli na handel mi dasz, to nie mam na to świadków?! Ty myślisz, że oni nie poświadczą, nie przysięgną! Ha, ha... zgubić kogo, to bardzo łatwo.

— Róziu! krzyknął Śpiewalski, chodź-że tu, słyszysz? Toć jako moja żona, powiedz im, co oni czynią. Czy oszaleli, czy co? Słyszałaś, co tu było?

— Słyszałam, odrzekła, a na twarz jej wystąpiły mocne, gorące rumieńce, w oczach zamigotały iskry, znać było, że kipi w niej i że lada chwila gniewem wielkim wybuchnie.

Rozradował się stary w swojem niespodzianem zmartwieniu, gdyż zdawało mu się, że to jego krzywda tak oburzyła Rózię, że ta kobieta, jako jego prawa, przywiązana żona, ujmie się za nim i bronić go będzie,—aliści rozradowanie krótko trwało.

Rózia stała przez chwilę wyprostowana, gniewem wzburzona, poruszyła kilkakrotnie ustami, jakby chcąc dużo powietrza w płuca złapać, a potem zwróciła się do ojca i wybuchnęła, jak piekło.

— Ha! macie; macie teraz, ojcze i wujaszku! Sprzedaliście mnie staremu dziadowi, jak cielę na jarmarku... I ja dałam się sprzedać dla waszego dobra... Ale skoro już miało się tak stać, to trzeba było mnie sprzedać dobrze i mądrze, a wyście mnie sprzedali tanio i głupio... O jałówkę byście się lepiej targowali, niż o mnie.

Śpiewalski zdrętwiał na te słowa, Katarzyna, która nadeszła, słysząc hałas i stanęła w drugich drzwiach, zbladła, jak ściana, a w jej wielkich czarnych oczach malowały się gniew i przerażenie i litość nad ojcem, nad którym tak się znęcano niesłusznie...

Przez chwilę zrobiło się w stancyi tak cicho, że można było słyszeć szmer skrzydeł przelatującej muchy... nareszcie Śpiewalski zaklął strasznie i splunął.

— Pluj, pluj, rzekł Kieliszek, jakeś co dobrego zjadł, to możesz teraz pluć i ganić, żeby ci nie kazano płacić.

Ciężką walkę sam z sobą toczył Śpiewalski, dotknięty do żywego w swojej godności, w ukochaniu, we wszystkiem. Otworzono mu nagle oczy i przejrzał i zobaczył, co warta ta żoneczka, która tak niedawno przed ołtarzem zaprzysięgła mu wierność i miłość dozgonną, co warta rodzina, w którą wszedł. Wszystko fałsz, obłuda, oszukaństwo, brud!

Drogą kłamstwa szli, aby grosz wycyganić, a kiedy natrafili na opór, wówczas dopiero pokazali się, czem są naprawdę, pokazali się w całej swojej brzydocie.

Ciężką walkę toczył ze sobą Śpiewalski, bo w pierwszej chwili, gdy mu tak szkaradnie w oczy bluznęli, zawrzała w nim krew wszystka; chciał porwać za kij i tłuc bez miłosierdzia, nie pytając, tłuc, niszczyć wsystko, co mu pod rękę wpadnie, ale że stateczny był człowiek, więc pohamował w sobie tę żałość i złość, i ścisnął tylko zęby, aż zgrzytnęły... A nie łatwa to rzecz, taki słuszny gniew w sobie przydusić, i podobniej jest ciężki wóz z góry się toczący zatrzymać, aniżeli wybuch gniewu pohamować... przecież to uczynił... pomyślał, że to familianci, że ich pod dachem swoim przyjmuje, i zdobył się na spokój, chociaż powierzchowny, bo w duszy burza huczała.

— Moi panowie—rzekł—grozicie sądami, to idźcież do sądów, a mnie w moim domu w spokojności zostawcie...

— Pójdziem, pójdziem, rzekł Kieliszek, ale jeszcze się zobaczymy przed kratkami, panie zięciu...

— A może za kratkami, doszczekiwał Pikuła, ile że gębę miał wyparzoną i język szkaradny.

— Nie bywałem za kratkami, rzekł Śpiewalski—i nie będę, uczciwie żyłem.

— Obaczymy, obaczymy.

— Chodź szwagierku,—wołał Kieliszek,—wychodźmy stąd żywo.

— Z Bogiem—rzekł gospodarz.

— I ja z wami ojcze—zawołała Rózia—ja tu nie zostanę.

Śpiewalski, nic nie mówiąc, powoli zbliżył się do żony, ujął ją za rękę silnie i rzekł:

— Prawo ludzkie i Boskie jest, żeby żona przy mężu była i ty... będziesz.

To rzekłszy, otworzył drzwi do drugiej stancyi, wepchnął tam Rózię, a raczej wrzucił ją jak kociaka i dwa razy klucz w zamku obrócił.

Pikuła z Kieliszkiem cofnęli się ode drzwi.

— Toś ty taki kat dla niej, to niewolić ją będziesz! ej, szwagierku, puśćmy no ręce w ruch, trza tego rozbójnika rozumu nauczyć...

— Kasiu, — rzekł Śpiewalski do córki z wielkim spokojem, — skoczno po sołtysa i zawołaj ze sześciu gospodarzy, bo grzeczne słowo nie wiele tu pomoże.

— Boi się kto gospodarzy?! rzekł Kieliszek!—ale chodź, bracie. Co z takim wojować. Jedziem do adwokata. Wicek, hej Wicek, gdzieżeś się schował?..

Wicek, który dobrze patrzył i widział, co się w chałupie dzieje, stał przy małem

okienku od alkierza, gdzie akurat szybka była wybita i szeptał do uwięzionej Rózi:

— Widzisz, widzisz, jakaś ty biedna... Nie chciałaś słuchać, ale nie płacz... nie płacz. Jeszcze wszystko można naprawić. Pocierp parę dni, a potem zabierz staremu pieniądze i uciekaj... uciekajmy choć na koniec świata... Szczęśliwi będziemy... Róziu, Róziu, powiedz jedno słowo... uciekniesz?

— Cicho... cicho... jeszcze kto usłyszy.

— Niema nikogo... nikt nie słyszy, uciekajmy... kiedy chcesz, jutro, pojutrze, ja tu co noc, jak pies, koło wsi będę się włóczył i pilnował...

Wicek się mylił. Był ktoś, co słyszał, mianowicie Katarzyna, która wyszła go szukać, żeby prędzej niemili goście odjechali. Słyszała całą rozmowę z za węgła, ale nie dała poznać tego po sobie; przystąpiła tylko do niego i rzekła grzecznie:

— Niechno pan stangret idzie do koni, bo panom bardzo pilno odjechać.

Spojrzał na nią z podełba jak wilk i odskoczył.

Gdy odjechali, Katarzyna wróciła do stancyi, wzięła Śpiewalskiego za rękę i pocałowała.

— I czegóż ty mnie, Kasiu, całujesz?— zapytał.

— A bo mi was, ojcze, okropnie żal...

Stary westchnął ciężko, usiadł i dwie łzy, ciężkie jak ziarna grochu, stoczyły się po jego pobladłej twarzy.

Śpiewalski w milczeniu i ciężkiej zadumie przesiedział dobrą godzinę. Katarzyna zaglądała parę razy do stancyi, aby zobaczyć, co ojciec robi, lecz, widząc, że siędzi spokojnie, usunęła się zaraz, aby w myśleniu nie przeszkadzać.

Istotnie ciężkie to było myślenie: co teraz robić i jak postępować? Procesów i pogróżek się nie obawiał, bo miał sumienie czyste i sprawę słuszną, a tamta strona swoich dzikich pretensyj żadnym dowodem nie mogła poprzeć—więc nie myślał nawet o pogróżkach ojca i wujaszka żony; to mu tylko głowę zaprzątało, jakie pożycie go czeka z Rózią, która tak wyraźnie wypowiedziała, co myśli.

Śpiewalski był religijnym człowiekiem; wiedział on, że małżeństwo to sakrament, to przysięga na całe życie,—więc ani mu na myśl nie przyszło, żeby żonę do ojca odesłać. Co będzie, to będzie, trzeba cierpieć.

Przypomniał sobie, że Rózia w alkierzu siedzi na klucz zamknięta, zbliżył się do drzwi i otworzył je, ale ani słowa nie wyrzekł. Spodziewał się, że usłyszy wymówki, płacz, żale, a tymczasem wprost przeciwnie. Rózia wyszła z alkierza spokojna, jak gdyby

nic nie zaszło; na jej rumianej twarzy nie było śladu łez, owszem zbliżyła się do męża z uśmiechem!..

— Przepraszam—rzekła bardzo grzecznie:—przebaczcie mi, mężu, słowa, które wyrzekłam w złości...

— A czy pamiętasz, co zaszło?

— Nie, nie pamiętam... pewnie coś głupiego, gdyż byłam bardzo rozżalona.

— Rozżalona? na mnie?

— A no, ja sama nie wiem, dość, że mnie żal zdjął wielki. Ojciec przyjechał, wuj przyjechał... pierwszy raz na moje gospodarstwo— i, zamiast rozweselenia i zabawy, wnet kłótnia, omal, że nie bitwa... Żal mnie wielki zdjął i płotłam niewiedzieć co... was obraziłam, a teraz żałuję...

— Żałujesz?

— Jak matkę kocham, żałuję...

Mówiąc to, przysunęła się do niego tak blizko, że jej ramię dotykało jego ramienia, przymilała się i patrzyła mu w oczy... Śpiewalski na to nie zważał, zanadto boleśnie był dotknięty. Spojrzał na nią chłodno, i rzekł surowym głosem, ale spokojnie:

— Skoro żałujesz, ja przebaczam, ale proszę cię, Róziu, drugi raz niech się to nie powtórzy. Miej to w pamięci, że przysięgłaś przed ołtarzem i że żona powinna wszędzie pójść za mężem i zawsze być jego wierną

towarzyszką i przyjaciółką. To sobie zapamiętaj na zawsze, podług tego postępuj, a możesz być pewna, że odemnie krzywdy nie doznasz...

Rzekłszy to, wyszedł ze stancyi. Rózia zgrzytnęła białemi zębami, zacisnęła pięści, a w oczach jej zamigotały niedobre blaski. Stanęła przed lusterkiem, wiszącem na ścianie, poprawiła włosy i przeszła przez sień do izby, w której siedziała Katarzyna.

Młoda kobieta zwróciła ku niej duże czarne oczy, jak gdyby chcąc tym sposobem zapytać:

— Czego chcesz i po co tu przychodzisz?

Rózia zrozumiała pytanie, ale nie odrzekła zaraz. Pokręciła się po stancyi, jakby szukając czego, wreszcie zapytała:

— Czy u nas jest len?

— Jest...

— Chciałabym jutro zasiąść do przędzenia, wieczory długie, przykrzy się... Ja prząść umiem, matka mnie nauczyła.

— To dobrze...

— Gdzież macie ten len?

— Na górze, można wziąść i robić, co się podoba.

— Dlaczego, Kasiu, jesteś dla mnie tak chłodna?—zapytała z przymileniem.

— Ja taka zawsze...

— Bo widzisz, mnie przykro... Jestem

przecież żoną twego ojca... Nie żądam, żebyś nazywała mnie matką, bo nawet śmiesznieby to wyglądało, jesteśmy obie może w jednych latach, a może nawet ja młodsza.

— Z pewnością młodsza...

— Więc to rzeczywiście nijako, ale dla czegobym nie miała być ci jako siostra? Mówmy sobie po imieniu i bądźmy przyjaciółkami... Cóż Kasiu?

— Albo ja wiem... toć dopiero co pani z ojcem rozmawiala wcale nie jak żona...

— Prawda, prawda, ale ja męża przeprosiłam i on mi przebaczył... Ja chcę i z tobą dobrze żyć... Już trudno, co się stało, to stało... zapomnijmy o złem, starajmy się o dobre; tak jak jest, nie może być, takie życie, jak teraz, to nie życie, to p ekło...

— Trzeba było wprzód o tem pomyśleć, zanim się za mąż wyszło..

— I to prawda, wszystko, wszystko prawda, ale już się nie wróci. Chcę z wami w zgodzie być, chcę pracować. Będziemy robiły w domu wszystko, co trzeba, będziemy przędły, a w wolnych chwilach czytały... Kasia umie czytać?

— Umiem i pisać...

— To dobrze... Jak tylko będę w mieście, kupię parę książek; a może w domu są jakie?

— Jest kilka... Do nabożeństwa... żywoty świętych...

Katarzyna nie mogła zrozumieć, skąd się wzięła nagle ta dobroć, pracowitość, uległość, pokora... Nie mogła zrozumieć, tembardziej że ciągle stała jej na myśli rozmowa z Wickiem, prowadzona przez okienko, obietnica, że on przychodzić będzie nocami i czatować na wyjście swojej ukochanej.

Katarzyna nic nie powiedziała ojcu o tem, co wie, była dla Rózi grzeczna, udawała, że się niczego nie domyśla, ale miała baczne oko na wszystko, co się dzieje, a w nocy sypiała tak czujnie, jak żóraw na czatach.

Psy przez dzień trzymała na uwięzi, żeby nocą były bardziej zajadłe i czujne, dawała im jeść dobrze, sama doglądała, czy wszystkie drzwi pozamykane, nawet wrota wjazdowe tak sztucznie kołkami podpierała, że, ktoby chciał je otworzyć, musiałby się długo namęczyć.

Śpiewalski to zauważył.

— Coś ty—rzekł raz—Kasiu, ogromnie jakoś teraz naszego dobra pilnujesz...

— Mam nie pilnować?! Mówią, że jakiś włóczęga nocami koło wsi myszkuje...

Mówiąc to, spojrzała ukradkiem na Rózię i dostrzegła na jej twarzy rumieniec, a w oczach jakby zaniepokojenie.

— Skądże Kasia wie o tych złodziejach?—spytała.

— We wsi mówią. Jeden chłop widział coś, ale nie mógł zmiarkować, czy to był duch, czy człowiek, bo noc ciemna; powiadał, że psy ujadały okrutnie i biegły za wieś ku figurze...

— Może kto przejeżdżał nocą, jaki podróżny,—wtrąciła Rózia.

— Może, bardzo być może, ale nieboszczka matka mówiła, że kijem tego, kto nie pilnuje swego—oraz, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Święta prawda, Kasiu—rzekł Śpiewalski—juści trzeba pilnować, a najbardziej koni, bo stronami precz kradną...

Katarzyna też pilnowała, jak oka w głowie, a im więcej dawała baczenia, im więcej strzegła, tem Rózia była dla niej lepsza i grzeczniejsza.

I zeszło tak kilka tygodni w zgodzie przykładnej i spokoju. Kieliszek pogróżek swoich nie spełniał, procesu nie wytaczał, wcale nie pokazywał się w Przytusze, a w Śpiewalskiego duch wstępował i nadzieja, że już do końca życia będzie spokojny i szczęśliwy.

Zaczynał wierzyć Rózi, nabierać coraz więcej pewności, że wstąpił w nią duch dobry, że zrozumiała nareszcie, jak postępować powinna i jak obowiązki swe pełnić.

Zwierzył się z myślami swojemi Katarzynie, i, kiedy byli sami w stancyi, rzekł:

— Widzisz, Kasiu, uchodziła się jakoś.

— Kto?—spytała córka.

— A Rózia... Zupełnie ona teraz insza, niż dawniej, całkiem insza kobieta... Toć chyba sama widzisz.

— Proszę ojca... powiadają, że chcąc człowieka poznać, trzeba beczkę soli z nim zjeść, a ojciec ze swoją żoną jeszcze i kilka funtów nie spożytkował.

— Ty bo zawsze w każdym chcesz złe widzieć. Ja powiadam, że Rózia teraz insza, i to jest szczera prawda.

— A no, to prawdziwie; ona jest insza, a nasza matka nieboszczka była też insza.

— Wasza matka — rzekł z rozmysłem Śpiewalski — wasza matka, świeć Panie nad jej duszą, była kobieta dobra, ale prosta.

— Ojcowa teraźniejsza żona nie jest prosta, ale i dobra też nie jest...

— Ech, co ty się znasz!—krzyknął Śpiewalski—o kurach możesz sądzić, ale nie o ludziach.

— Przecież ja nic nie mówiłam, ojcze; zapytaliście, co myślę, odpowiedziałam szczerze; żebyście nie byli żądali, nie rzekłabym ani słowa. Uczyniliście podług waszej woli; myślicie podług własnego swojego pomiarkowania—a ja cóż? Ja sobie prosta kobiecina wiejska, taka, jaką była i moja nieboszczka matka. Do ogrodu, do przędziwa,

do sierpa, do grabi... ma się rozumieć też do kościoła, do poczciwego kochania, do posłuszeństwa starszym... Zwyczajnie, prosta baba! gdzie mnie sądzić takie panie, jak ojcowa żona. Pewnie, że to nie mój rozum; ale widzicie tatuniu, choć ten mój rozum jest babski, maleńki, krótszy niż włosy, ale jest, więc gdy ojciec pytają, to inszym nie odpowiem, tylko swoim, tylko tym, który mam.

— Więc nie wierzysz, że Rózia teraz lepsza.

— Nie gniewajcie się, ojcze—ale chrzan, choćby go w miodzie gotować, zawsze chrzanem zostanie.

Śpiewalski wyszedł ze stancyi i drzwiami głośno trzasnął, na znak, że zły jest i że mu się mowa córki nie podobała. Katarzyna zaś została sama, jak zawsze smutna, zadumana, do rozmowy niechętna.

Pilnie baczyła ona na Rózię, na jej grzeczność dla ojca, na przymilanie się, uśmiechy, i żal jej było zaślepionego człowieka. Czuła, że w tem wszystkiem jest fałsz, że jakaś zdrada się knuje. Postanowiła pilnować— a miała baczne oko na dom, na ludzi, którzy się po wsi kręcili. Rózia czuła, że Katarzyna jej nie wierzy, że się czegoś domyśla, więc też liczyła się z każdem słowem, wysilała na grzeczność dla pasierbicy, aby jej czujność

uśpić i zaufanie sobie zjednać — ale nie szło to jakoś.

Upłynęło parę miesięcy. Rózia postanowiła koniecznie, chociaż na parę dni, wyrwać się z domu. Zaczęła tedy przedstawiać mężowi, że jako córka ma obowiązki względem rodziców, że musi ojca i matkę odwiedzić, że jej tęskno, że ludzie w mieście Bóg wie co myśleć o niej będą... aż w końcu Śpiewalski, wzruszony temi prośbami, rzekł:

— Skoro tak chcesz koniecznie, to jedź, ale ja nie mogę. Twój ojciec mnie obraził, zdyfamował w moim własnym domu, więc dopóki mnie nie przeprosi, ja jego progów nie przestąpię.

— Czy ja nad tem nie boleję, — rzekła Rózia, czy mnie to nie martwi? Córka ja dla ojca, ale i żona dla męża... i ojcu i mężowi dobrze życzę. Ja do ojca przemówię, żeby się pomiarkował i żebyście się pogodzili. Póty będę prosiła, dopóki tego nie uzyskam i będziemy żyli, jak Bóg przykazał, w zgodzie, w jedności, w przyjacielstwie.

— Ha, pięknie mówisz, moja Róziu, niema co, bardzo porządnie, ja też ci żadnej przeszkody nie czynię, odwiedź rodziców—jedź.

Rózia rzuciła się staremu mężowi na szyję.

— A kiedyż powrócisz? zapytał.

— Kiedy mąż każe, za dwa dni, za trzy. Konie to odesłałabym zaraz.

— Skoro tak, to już sobie nie żałuj, naciesz się ze swojemi, choćby i przez trzy dni... czwartego przyślę po ciebie.

— Albo u ojca koni niema? Na cóż swoje pędzać, dość w jedną stronę.

Wybrała się na poczekaniu; ledwie parobek zdążył konie zaprządz, już była gotowa, a w kilka godzin później znajdowała się w miasteczku. Zastała tylko matkę, gdyż Kieliszek ze szwagrem akurat tego dnia na jarmark pojechali... Przywitawszy się z matką, pobiegła niby to stare kąty odwiedzić, gospodarstwo, dobytek. Zajrzała do obory, do stajni, do stodoły.

Tam właśnie Wicek był. Ujrzawszy Rózię, aż krzyknął z radości i obces na szyję jej się rzucił. Nie broniła się.

Szeptali ze sobą przez czas jakiś i umówili się, że po południu on czekać będzie na nią u swej ciotki, wdowy, w ustronnym domku nad rzeką. Ponieważ ta ciotka chodziła na wyrobek, więc mogli swobodnie rozmawiać i nikt im nie przeszkodził.

Schodzili się też tam codziennie, ona rozwodziła przed nim żale na swój los nieszczęśliwy, on namawiał, żeby rzuciła starego, a z nim w świat poszła. Po każdej takiej schadzce Rózia wracała do domu zadumana, zafrasowana, a w oczach jej niedobry ogień gorzał. Wicek też był jak nie swój, to uśmie-

chał się do siebie, jakby z wielkiej radości, to znów spoglądał z podełba jak wilk, a oglądał się ze strachu, czy kto jego myśli nie podsłucha, czy mu ich z oczu nie wyczyta.

Czwartego dnia, kiedy Rózia do domu wracać miała, bo mąż po nią konie przysłał, przed samym odjazdem Wicek spotkał Rózię w sieni. Był już zmierzch, prawie ciemno, w stancyi krzątali się ludzie, niewiele czasu było na pożegnanie.

Objął ją ramieniem, przycisnął mocno do siebie i szepnął do ucha:

— Pamiętaj... tylko śmiało, nie bój się.

Jednocześnie wetknął jej do ręki coś, jakby liścik, jakby papier złożony w kilkoro...

Zawahała się przez chwilę.

— Bierz, bierz—nalegał—to nasze wybawienie, to kochanie, to szczęście...

Rzekłszy to, wybiegł z sieni, gdyż ktoś za klamkę poruszył.

Rózia schowała pośpiesznie ów papierek w zanadrze... i wbiegła do stancyi, aby rodziców pożegnać.

Była blada bardzo, ręce jej się trzęsły.

— Co ci?—spytała matka.

— Nic, mamo, to tak czasem... ale już przechodzi. Bądźcie zdrowi...

. . . .

Rózia powróciła do domu bardzo rozweselona, przywitała grzecznie męża i Katarzynę, zdawało się, że z wielką radością, z ukontentowaniem przybyła pod dach niskiej chaty. Była niezmiernie ożywiona, opowiadała o pobycie w mieście, krzątała się w stancyi, sama nastawiła samowar, żeby przyrządzić herbatę dla męża. Pomimo ożywienia była blada, ręce jej się trzęsły, a w oczach jej chwilami malowała się jakby wielka trwoga, czy przestrach... Śpiewalski nie zauważył tego, ale Katarzyna była zaniepokojona zachowywaniem się macochy. Nie lubiła ona nigdy pięknej Rózi, teraz wydawała jej się ona wstrętną. Czego się tak trzepocze po stancyi, czemu się tak mizdrzy i przymila do starego męża? Czy może to być szczere? Nie, nigdy... obłuda, oszukaństwo, zdrada!

Katarzyna była kobieta prosta, ale uczciwa i szczera, oburzał ją wszelki fałsz i udawanie. Nie mogła się wstzymać od uwagi.

— Pani—rzekła—musiało się coś bardzo wesołego stać w miasteczku.

— Albo co?—spytała Rózia.

— Bo pani taka kontenta.

Rózia zarumieniła się mocno... przygryzła usta, po chwili dopiero odrzekła.

— Co za dziw? Miło jest dziecku nacie-

szyć się z rodzicami, miło żonie powrócić do męża. Kasia tego nie rozumie? Kasia nie była dzieckiem? nie była żoną?

— To i cóż... byłam.

— Ot, niech Kasia pobiegnie i ojca zawoła, bo herbata gotowa i niech Kasia odrobinę masła przyniesie.

Katarzyna wyszła. Rózia szybko nalała dwie szklanki herbaty i postawiła je na stole, potem wydobyła z kieszeni papier, który jej na odjezdnem z miasteczka Wicek dał do ręki... Zbladła jak ściana, zatoczyła się niby pijana, zbliżyła się do stołu i znów cofnęła, jakgdyby chcąc wrzucić w piec to, co miała w ręku, ale nagle zabrzmiały jej w uszach słowa Wicka:—śmiało, śmiało... wyciągnęła rękę i wsypała proszek do szklanki...

W tej samej chwili Śpiewalski, zawołany przez Katarzynę, wszedł do stancyi, usiadł spokojnie przy stole, uśmiechnął się do żony i rzekł:

— Oho, dogadzasz mi Róziu, myśli moje zgadujesz. Kto ci powiedział, że ja mam dziś wielką chęć na herbatę?

— Ja wiem, co lubisz, mężu, ja zawsze tak...

Nie dokończyła, gdyż zrobił się wielki krzyk przed domem, na drodze. Oboje wybiegli przed sień.

Wadziły się dwie pijane kobiety.

— Niema na co patrzeć—rzekł Śpiewalski—wracajmy do stancyi.

Wrócili, przyszła też i Katarzyna, zasiedli przy stole, zaczęli rozmawiać. Oczy Rózi biegały niespokojnie, głos drżał, w przerażeniu nie dostrzegła, że Śpiewalski nie usiadł na miejscu, gdzie poprzednio był siedział.

Męszał herbatę łyżeczką w szklance, powoli, spokojnie i uśmiechał się do Rózi, jak do dziecka; ona zaś swoją duszkiem prawie wypiła, ledwie jednak zdążyła przełknąć, dreszcz nią wstrząsnął. Otworzyła oczy szeroko i z przerażenia ani słowa wymówić nie mogła.

Śpiewalski zerwał się z krzesła.

— Co ci?—zawołał przestraszony.

— Nic, nic—wyszepnęła—trochę mi słabo, niewiem sama, boję się.

Po kilku chwilach padła na ziemię, wijąc się w okropnych boleściach.

Śpiewalski głowę stracił, sam nie wiedział, co robić, ukląkł przy chorej, najczulszemi wyrazami dopytywał, co jej jest, czego żąda, czem ją ratować. Katarzyna zaś odrazu zmiarkowała, co się święci: teraz jasnem już było dla niej zachowanie się Rózi, jej dziwna bladość, wymuszona wesołość, drżenie rąk.

Szybkim ruchem pochwyciła szklankę z resztą herbaty i schowała ją do szafy pod klucz; następnie pobiegła po księdza, po sołtysa a parobkowi kazała zaprządz i co koń wyskoczy po doktora jechać.

Kiedy ksiądz ze świętemi Sakramentami przyszedł, Śpiewalski zapłakał jak dzieciak na myśl, że może ukochaną żonę utracić.

Po odbytej spowiedzi, Śpiewalskiego proboszcz zawołał.

— Chodź do umierającej, rzekł, do żony, która lada chwila stanie przed trybunałem Najwyższego Sędziego—idź do niej—ona chce uczynić przed tobą wyznanie. Cokolwiek usłyszysz, pamiętaj, żeś chrześcijanin, przebacz jej a sąd pozostaw Bogu.

W kwadrans później Śpiewalski wyszedł od żony blady jak trup, złamany, zgarbiony, zestarzały w jednej chwili; rzucił się na kolana przed obrazem i tak w cichej modlitwie długo, długo zostawał.

W sąsiedniej stancyi na łóżku spoczywało ciało pięknej Rózi, pokurczone, z twarzą wykrzywioną okropnie w przedśmiertnych boleściach, straszne. Sołtys wartę przy niem postawił.

Nazajutrz przybyła komisya z doktorem, dopytywali, badali, dwóch policyantów konnych posłano do miasteczka po Wicka. Nie znaleźli go już, wieść okropna doszła do nie-

go wpierw, nim ramię karzącej sprawiedliwości ludzkiej—uciekł przed nią i przepadł, jak kamień w wodę wrzucony.

Nie widziano go już nigdy i nie słyszano o nim.

Kieliszek rozpił się i zmarniał, Pikuła na takiej samej jest drodze.

. . . .

Kiedy jesienią Jarząbek powrócił z roboty i zajrzał do sąsiada—ledwie go poznał, i aż krzyknął z podziwu. Stał przed nim człowiek stary, przygarbiony, smutny, w sukmanie, z siekierą w ręku.

— Śpiewa'ski! — zawołał Jarząbek — wy to, czy nie wy?

— Ja, bracie.

— W sukmanie?

— Bodajbym był jej nigdy nie zdejmował.

— Co się z wami dzieje?

— Już się nic nie dzieje teraz, a co się działo, to ci, sąsiedzie, opowiem. Chodź do izby...

Na mogile Rózi trawa porosła, krzyż nowy, własną ręką Śpiewalskiego wyciosany, czernieje powoli od deszczów i słoty, w kościołku co kwartał za jej duszę msza się odprawia—a Śpiewalski na klęczkach modli się, aby przebaczył grzesznicy.

Stare łatwowierne kobiety mówią, że dusza Rózi nie zna pokoju, że błąka się ona

po rozdrożach, bagnach, pustych miejscach, łańcuchami brzęczy i ludzi straszy. Ma się rozumieć, że to nie prawda, tylko wymysł zabobonnych kobiet, ale w pamięci mieszkańców Przytuchy i okolicznych wiosek żyje i długo jeszcze żyć będzie smutna historja o żonie z jarmarku.

KONIEC.